Nr. 19. Poznań, Niedziela 5go Sierpnia 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd **Poznański**“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25). w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

O literackiej wzajemności Słowian.

Idea szeroko i wszechstronnie pojętej wzajemności narodów, tworzących potężny szczep słowiański, wcale nie jest nowa. Wielokrotnie przez różnych slawistów podejmowana, znalazła swój najwyższy wyraz w broszurze słowacko-czeskiego poety Jana Kollára p. t.: „Ueber die literarische Wechselseitigkeit zwischen den verschiedenen Stämmen und Mundarten der slavischen Nation.“ Pest 1837. Wszystkie na jakimkolwiek bądź gruncie wyrosłe dotychczas pomysły wzajemności słowiańskiej przychodziły na świat z zarodami śmierci, bo wszystkie z realnymi warunkami nie licząc się, bądźto z fałszywego wychodziły założenia, bądź też do niepraktycznych dochodziły wniosków. Wielki idealista i romantyk Jan Kollár uznawał tylko jeden jedyny naród słowiański i jeden język o różnych narzeczach, z których cztery tylko każdemu wykształconemu Słowianinowi powinny były być znane, a mianowicie: czeski, polski, rosyjski i serbsko-chorwacki. Dziwaczne i niczem nieuzasadnione teorye i żądania słowianofilów i panslawistów rosyjskich są raczej jednym z objawów zaborczości potężnego organizmu politycznego Rosyi, niżeli wynikiem z uczciwą tendencyą pomyślanej wzajemności Słowian.

A jednakże idea ta musi mieć jakieś realne podstawy, skoro wszedłszy raz na porządek dzienny nie schodzi z niego, tylko różnym podlega metarmofozom. Nawet ekskluzywny i mało poczucia słowiańskiego posiadający naród polski wydał z pośród siebie marzyciela na temat idei słowiańskiej, pociągającej ku sobie wszystkie umysły do wyjścia po za ramy swej własnej narodowości zdolne. „Łącząc wszędzie polszczyznę z Słowiańszczyzną,“ powiada w swym słowniku L i n d e, „snuł mi się ustawicznie przed oczami rys niejakiś zjednoczonego w myśli mojej powszechniejszego języka słowiańskiego, z stosunkami jeszcze rozciąglejszymi co do ogółu mowy ludzkiej.“

Na podkreślenie zasługuje fakt, że ze wszystkich narodów słowiańskich jedynie Polacy stworzyli wyrazy: wzajemny, wzajemność, którym też stosowne pojęcia odpowiadać musiały. J u n g m a n n układając swój słownik przytacza przy wyrazie: wzajemność i t. d. same przykłady z Lindego. Niezawodnie więc nie brak nam zmysłu i poczucia wzajemności, którą atoli stosujemy jedynie do siebie, pobratymców naszych ignorując, a jednakże racyonalnie pojęta wzajemność przyniosłaby nam wszystkim niezawodnie wielkie korzyści, których obecnie sami dobrowolnie się zrzekamy. Ściągnąwszy ideę wzajemności słowiańskiej z nieba na ziemię, odnieślibyśmy bezsprzecznie liczne korzyści polityczne, ekonomiczne, społeczne i literacko-naukowe. Szczepowo i duchowo pokrewni sobie, możemy się rozumieć lepiej, niżby to kto inny był wstanie uczynić, możemy popierać się w osiągnięciu swoich celów, możemy wymieniać między sobą wytwory życia przemysłowego, czy duchowego i wpływać korzystnie na rozwój tak całości jak pojedyńczych części.

Niech mi wolno będzie exempli causa wskazać na jeden przykład korzyści społecznej, którą odnieśliśmy ze zbliżenia się w ostatnich czasach do Czechów. „Ustředm Matica česká“, wzorowana może na niemieckim „Schulvereinie“, ale odpowiednio zmodyfikowana, przyczyniła się do założenia u nas w Galicyi Tow. „Szkoły ludowej“, które tak wyjątkowo pięknie się rozwija i tak piękne rokuje nadzieje. Na polu ekonomicznem i politycznem korzyści byłyby niezawodnie jeszcze donioślejsze.

Lecz niestety na przeszkodzie większemu zbliżeniu się narodów słowiańskich stoją liczne przesądy, pochodzące z wielkiej wzajemnej nieznajomości. Nieznajomość tę zmniejszyć, przesądy usunąć, zbliżenie się umożliwić, oto pierwsze nasze zadanie, do zrealizowania wzajemności słowiańskiej prowadzące. Zadanie to spełnić może i powinno nasze dziennikarstwo i nasza literatura. Na pierwszy plan wysuwa się oczywiście kwestya językowa. Stworzenie słowiańskiego volapüku jest tak samo niemożliwe, jak stworzenie ogólno-ludzkiego volapüku; zresztą jest ono zarówno niemożliwe jak i zupełnie zbyteczne. Podobnie jak chętnie i bez wielkich trudności uczymy się języków: niemieckiego, francuskiego i angielskiego i t. d., tak samo przyswajać sobie możemy różne pokrewne naszemu języki słowiańskie; a to tem bardziej, że chodzi jedynie o czytanie i rozumienie; mówienie koniecznie potrzebne nie jest. W tym celu należy starać się o potworzenie posad lektorów języków słowiańskich w naszych krajowych uniwersytetach. Zanim atoli doczekamy się uznania tego żądania ze strony ministerstwa oświaty, powinniśmy przynajmniej potworzyć prywatne szkoły języków słowiańskich, na wzór istniejącej w Pradze. Zwiększone zainteresowanie się językami słowiańskimi utrzymałoby takie szkoły niezawodnie; a szkoły na odwrót poparłyby i rozpowszechniły zajęcie się językami naszych pobratymców.

W bezpośrednim z tą akcyą związku zostaje napisanie i wydanie odpowiednich celowi słowników. Obecnie bowiem każdy slawista zmuszony jest posługiwać się doskonałemi słownikami języków słowiańskich, opracowanymi przez leksykografów niemieckich lub też słowiańskich, pomiędzy którymi Polaka nie ma. Rzecz jasna, że zwrot społeczeństwa ku slawistyce zachęciłby wielu specyalistów do poważnych naukowych w tym kierunku studyów. Jeden poświęciłby się lingwistyce, drugi historyi, inny znowu literaturze albo też porównaczemu słowiańskiemu folklorowi. Wstyd doprawdy przyznać, że gdy my nic prawie w tym kierunku nie uczyniliśmy, Niemcy przyczynili się już ogromnie do zbadania i poznania wielkiego świata słowiańskiego. — Znajomość języków ułatwiałaby, a napewne i zachęciła do odbywania podróży po mało znanych u nas krajach słowiańskich. My Polacy wogóle do turystyki zamiłowania wcale nie mamy; znaczna odległość od morza i właściwa nam zaściankowość wytworzyły ten wielki brak. Ale jeżeli komukolwiek środki na odbycie podróży pozwalają i ochota wyjątkowo się znajdzie, to Polak wszędzie pojedzie, byle nie w sąsiednie kraje słowiańskie. A jednakże podróże dają najlepszą znajomość krajów, ludzi i stosunków; autopsyi nic nie zastąpi. Dziś usprawiedliwia się każdy nieznajomością języka, w czem wiele tkwi słuszności. Rozpowszechniona nauka języków słowiańskich, dziś istotnie wcale nie łatwa i trudno przystępna, usunie tę przeszkodę i umożliwi bezpośrednie, osobiste zetknięcie się, oraz ponawięzywanie stosunków. Rozumie się samo przez się, że w pierwszym rzędzie obowiązani do tego są nasi publicyści i dziennikarze, którzy albo o najbliżej nas obchodzących sprawach słowiańskich milczeć albo też wiadomości o nich z drugiej ręki czerpać muszą. Dwa z tego ujemne wynikają skutki: pierwszy ten, że pisma nasze swego własnego, wyrobionego zdania o sprawach słowiańskich mieć nie mogą, przez co jednego ze swych najpierwszych obowiązków nie spełniają; drugi ten, że ograniczone są do pism niemieckich, wrogo względem Słowian usposobionych i tendencyjnie ich kwestye traktujących. Ile dzięki temu spraw pominiętych, ile fałszywie zrozumianych być musi?

Inny jeszcze stąd dla nas ujemny wynika rezultat! Jak my o innych Słowianach,

tak też inni o nas częstokroć całkiem błędnie są poinformowani, wskutek czego w różnych pismach pojawiają się nieraz artykuły, domagające się wyjaśnienia albo odprawy i odpowiedzi. My tymczasem wcale nie czytamy tych artykułów, nie odpowiadamy na nie, z czego każdemu wywnioskować wolno, że uznajemy ich prawdziwość, że nie możemy na to lub owo nic odpowiedzieć, boć qui tacet consentire videtur. Ile w ten sposób mylnych i krzywdzących nas wiadomości krąży w świecie słowiańskim? A po czyjej stronie wina?

Każde zatem pismo polityczne w Polsce, Warszawy nie wykluczając, powinno posiadać specyalistę do slawistyki, referenta do spraw słowiańskich, któryby ten dział pism stale prowadził. Wymienianie pism i stałe stosunki z redakcyami dadzą referentowi dużo rzetelnego materyału, na którym w swoich wywodach zawsze będzie mógł się oprzeć. Obok tego powinien taki referent odbyć przynajmniej jednę podróż rocznie, za każdym razem w inną stronę, aby poznaniem rzeczy na miejscu zakres swych wiadomości rozszerzyć i właściwego o stosunkach pojęcia nabrać. To jednakże nie wystarcza. Każde pismo powinno posiadać jeszcze swoich stałych korespondentów, którzyby co najmniej raz na miesiąc korespondencye z ważniejszych miejscowości słowiańskich nadsyłali. W ten dopiero sposób zdołamy nawiązać bliższe, bezpośrednie stosunki pomiędzy nami, a resztą Słowian, co do których nie będziemy zasięgali wiadomości od wspólnych wrogów, kierujących się zasadą: divide et impera. Przy dzisiejszym stanie naszego dziennikarstwa są to zapewne pia desideria, ale nie mniej potrzebę tego uznać i w miarę możności realizować należy.

Nasze zaś pisma literackie powinny zająć się bliżej nieznaną u nas literaturą słowiańską. Dla nas w Polsce istnieje tylko belletrystyka francuska, nie zawsze na osobliwszy kult zasługująca.

O powieści lub noweli u Czechów, Słowaków, Chorwatów i t. d. nic nie wiemy i wiedzieć nie chcemy. A jednakże i u tych narodów istnieją pisma czysto literackie, żyją autorowie na uwagę i przekłady zasługujący. Feljetony pism naszych bywają nieraz tak nędzne, że się je nie czytając odrzuca. Czyż nie lepiej byłoby pomieścić co jakiś czas przekład z którejkolwiek literatury słowiańskiej? Pytań takich możnaby postawić jeszcze więcej, ale niech te na razie wystarczą. Kwestye poruszone są wedle dotychczasowego doświadczenia najważniejsze i najbardziej piekące. Zadowalniające ich rozwiązanie rozstrzygnęłoby pomyślnie problemat literackiej wzajemności Słowian, która stałaby się niezawodnie podwaliną wzajemności narodowej, społecznej i ekonomicznej, coby nam wszystkim nieobliczone przyniosło korzyści. Miejmy nadzieję, że niedaleka przyszłość będzie mogła zaznaczyć pewien postęp i pewne zdobycze na tem zaniedbanem u nas polu pracy dla szerszej ojczyzny słowiańskiej.

Wojciech Szukiewicz.

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Białogrodzki „*Odjek*“ (Odgłos) poświęca stosunkom ludności polskiej w Bośnii i Hercegowinie uwagi następujące:

„Bośnia i Hercegowina obejmowały pod panowaniem tureckiem 61,000 km kwadratowych, z tego zabrała Austrya 51 tysięcy, reszta przypada na okręg Nowo-Bazarski, gdzie tylko w trzech miejscowościach znajdują się załogi austryackie w Przyborzu, w Prepolisie i Plevji. Według statystyki chorwackiego uczonego dr. Matkiewicza, żyło dawniej w Bośnii i Hercegowinie 1,600,000 mieszkańców, z czego na Hercegowinę przypadało 100,000 dusz. Tymczasem spis ludności dokonany w roku 1888 wykazuje fakt dziwny, bo oto zmniejszenie się liczby mieszkańców! Według nowszych zapisków statystycznych ubyło w tychże ziemiach serbskich 380 tysięcy mieszkańców! Wprawdzie rząd austryacki wprowadził za to kolonistów nawet z Niemiec w liczbie 27 tysięcy i legiony urzędników, ale mimo to ubytek powtarza się corocznie. Jest to fakt w Europie całkiem odosobniony. Oto ludność tubylcza tak niecierpi rządów niemieckich w Austryi, że ucieka nawet pod panowanie tureckie, aby tylko nie mieć do czynienia z niecierpianymi „Szwabami“.

„Wprawdzie rząd austryacki czyni co może, aby temu zapobiedz, ale wszelkie środki okazują się marnymi. Bo też jakich środków rząd się chwyta! Oto n. p. teraz ogłaszają biura rządowe bośniackie, że wszystkie kontrakty, dotyczące wynajmu gruntu obcym, które Serbowie uchodzący za granicę wynajmują, są nieważne! Tym to sposobem rząd austryacki chce zmusić Serbów do mieszkania w Bośnii, lub też przymusić do sprzedaży za bezcen kolonistom niemieckim. Doszło w Bośnii tak daleko, że już mamy całe okolice niemieckie. Niemiec kolonista przybywszy do wsi bośniackiej rozpuszcza fałszywe pogłoski, że rząd wypędzać będzie Serbów, wówczas to ludność za bezcen sprzedaje lub odnajmuje kolonistom gospodarstwa. Wielkorządzca ziem zabranych, p. Kallasy powinien był dziennikarzom, których do siebie zaprosił, na fakt ten zwrócić uwagę.

* * *

Czasopismo słowackie „*Slowacz*“, organ Słowaków morawskich, pisze na temat połączenia się schyzmy z katolicyzmem, co następuje:

„W świecie słowiańskim przygotowują się wypadki ważne. Ojciec św. Leon XIII pracuje nad zjednoczeniem całej Słowiańszczyzny, dążąc do urzeczywistnienia idei Cyrylo-Metodyjskiej. Główną zasadą jest tutaj wprowadzenie do liturgii kościelnej języka staromorawskiego. Słowiańszczyzna południowa uczyniła w kierunku tym krok duży naprzód, tylko zachód słowiański — naród czeski — milczy.

„Bardzo słusznie podniosły młodoczeskie pisma potrzebę działania w tymże kierunku, podsuwając rzecz pod rozwagę koła poselskiego Czechów, które niedawno temu odbyło obrady. Przekonywająco dowodziły pisma, iż na polu kościelnem leży spory kęs kwestyi czeskiej, że i tutaj pracować można nad podniesieniem moralnem Czechów i rozbudzeniem ducha narodowego.

„Niestety, co zrobili posłowie młodoczescy? Oto nad kwestyą tą przeszli do porządku dziennego, sądząc, że ich stanowisko wolnomyślne nie pozwala na traktowanie kwestyi kościelnych. Wstrzymujemy się od wszelkich uwag złośliwych, nie chcemy zarzucać reprezentacyi czeskiej braku zrozumienia kwestyi najżywotniejszej, ale wyrażamy nadzieję, że kwestya ta nie zostanie pogrzebaną, ale wypłynie na zebraniu czeskich mężów zaufania. Kwestya liturgii słowiańskiej była zasadniczą w programie politycznym zmarłego Slavkowskiego, ojca stronnictwa młodoczeskiego. Mówią o nas, żeśmy pokoleniem husyckiem. Jeżeli tak jest, to podnieśmy sztandar Cyrylo-Metodyjski, idźmy za ideałem apostołów Słowiańszczyzny, których ideałem było połączenie całej Słowiańszczyzny. Wiedeń i Berlin niczego się tak bardzo nie obawiają, jak owej idei. Dla wytępienia jej przelali Niemcy morze krwi i łez. W niej leży od-

---

3)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI

MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

27 października.

Wstaję o świcie, ubieram się, nakładam tornister, biorę karabin i pospołu z żołnierzykami cesarskiemi wychodzę na plac mustry. Nad mieściną, nad rozkisłemi polami, nad całym światem i nad moją senną główką wisi mgła szara, zimna i mokra. Plac mustry zajmuje kawał niziny nad stojącym i zamulonym stawem. Na brzegu tego bagna stoi rząd ogromnych topól nadwiślańskich. Kiedy te wielkie drzewska sadzono, kiedy potężne dziś pnie były zaledwie smarkatemi kołkami, łąka niniejsza, mówiąc stylem sentymentów, alias patryotycznym, — była wolną i niepodległą. Pierwsze pędy topolek, wybiegłszy na powietrze stały naprzeciw słońca upojone światłością, może wówczas właśnie, gdy po tym placu defilowali w paradzie, ująwszy się pod ręce, wolni szlachcice, mniej wolni drobnomieszczanie oraz żydowinowie i prawie zupełnie niewolni chłopkowie, śpiewając z entuzyazmem:

„Jakże ten król nasz bogaty,
Skarb jego serc miliony!“...

Dziś wydaje się, jak gdyby i topole na stare lata zruszczały... Zimne są, sztywne, poobłamywane i obdarte. Dokoła nich murawa została wykręcona obcasami, stratowana, zdeptana i wbita w ziemię. Gdzieniegdzie stoi zdźbło trawy, uczepione do gródki gleby, takie samotne, biedne nieszczęsne i oczekujące cierpliwie na chwilę zagłady, jak buntowniczek schwytany, który w cichości i spokoju k a p i c j e powolutku na wygnaniu. Za chwilę jakieś podeszwy, może nawet moje własne podeszwy, zmiażdżą sierotę.

Na środku placu wznoszą się fantastyczne przyrządy do gimnastyki: drabiny, słupy, huśtawki, mostki, poręcze, baryjery i t. d. Wszystko to, brutalnie wymalowane na kolor ciemnoorzechowy, dziwnie kwadruje z lichemi domostwami w stylu podlasko-słowiańskim na dalekim planie. Na krańcu płaszczyzny wali się w gruzy płot z jodłowych żerdzi. Za płotem rozciągają się stosy śmieci niewiadomego pochodzenia, z lekka ozdobione chorowitemi od urodzenia badylami. Nie chciej pałać ku mnie nienawiścią za to, że Cię zaznajamiam ze wszystkiem, co się znajduje na jakiemś nędznem zamiejskiem pustkowiu. Gdybyś wiedział, mój synku, co to znaczy uczyć się mustry dzień w dzień od godziny siódmej do jedenastej i od drugiej do zmroku, — nie gniewałbyś się wcale... Gdy się z głupio wytrzeszczonemi oczyma przemaszeruje od końca łąki, do końca co najmniej pięćdziesiąt razy na dzień, wpada w oczy każdy sęk żerdzi, każda plama na murawie, wbija się w pamięć, jak gwóźdź w deskę i niewymownie żywo tkwi tam raz na zawsze. Mam specyalnego nauczyciela, t. z. d i a d k ę. Jest to wykwalifikowany w rzemiośle rycerskiem starszy żołnierz, wielkorus z pochodzenia. Nazywa się Archip Sinicyn. Dobry to jest z kościami człowieczyna; łagodnie zmusza mię do powtarzania po tysiąc razy tego samego „na ramię broń, do nogi broń, prezentuj broń!“, — łagodnie, całemi setkami wypala moje papierosy, bez cienia chamskiej gwałtowności przełyka gorzałkę, którą mu funduję. Wiesz, że byłem zawsze „pasyonowany“ do gimnastyki, że gorliwie i systematycznie wyrabiałem sobie mięśnie. Nie myślę też wcale uskarżać się na ćwiczenia cielesne; uznaję i podzielam nawet poglądy niektórych socyologów z 43 pułku piechoty na doniosłość manewrów, znaczenie cywilizacyjne armii, wpływ ćwiczeń karabinem, rozwijających klatkę piersiową i t. d., — wydaje mi się tylko, że zbyteczna

rodzenie kulturne Słowian. Podnieśmy więc sztandar ten wysoko..."

* * *

„Narodni Listy", główny organ Młodoczechów, tak pisze o sztuce polskiej, reprezentowanej na wystawie w pałacu sztuk pięknych:

„Pod jednym względem przewyższają nas Polacy wysoko, co należy wyznać szczerze. I to w sztukach pięknych. Nie mówimy już o Matejce, dla którego wybudowano tutaj pawilon osobny, bo mamy na myśli cały szereg malarzy polskich, żyjących, z których na wystawie z wyjątkiem szczupłej liczby wszyscy są reprezentowani. Pałac sztuk pięknych należy także uważać za najcenniejszy klejnot architektoniczny na placu wystawy. Nasza wystawa sztuk pięknych z roku 1891 pod żadnym względem z tegoroczną wystawą nie może się równać. Komitet wystawy wiedział, jaki on urok mieć będzie, więc na to konto zgrzeszył i nałożył osobne wstępne do pawilonu.

„Mamy długą przed sobą drogę, zanim w tym kierunku Polakom dorównamy; sposobem dotychczasowym, pieszczeniem i wystawianiem talentów niedojrzałych tego nie osiągniemy.

Dzieło: „Bitwa pod Racławicami" wzbudza w nas zazdrość. Pozostanie ono głównym magnesem dla Lwowa..." *K.*

LITERATURA I SZTUKA.

Przy szumie drzew.

Z cyklu „Miłość".

(Dokończenie.)

Las szumiał,
A ponad jego wierzchołkami słońce,
Dosięgłszy swego zenitu, rozlało
Nagle złocistych blasków całe morze,
Dźwięczące razem ze szumiącym lasem.
Rozgrana jasność, spływając z jaworów,
Buków i klonów, owionęła duszę
Ciepłem promiennej melodyi, rozkosznej,
Pobudzającej do jakiegoś życia,
W jakiś hymn wielki, rozeprzeć pragnący
Nawę kościoła... Z głębokiem spojrzeniem,
Pełnem wylania i jakiejś słodyczy
Niewysłowionej i jakiegoś ognia,
Zwrócona ku mnie, chciała coś przemówić,
Lecz zanim słowo zdołało wypłynąć
Z wszystkich przewinień burzliwej przeszłości
Jakąś nieznaną mi siłą, a jednak
Jakgdyby znaną od dawna, stanąłem
U bramy Raju, który żył dotychczas
Jedynie w moich snach i pożądaniach.
Doznałem naraz uczucia, jak człowiek,
Gdy się pobożnie zbliża do ołtarza,
Na którym Pański mieści się sakrament,
Skryty w misternym tabernaklu. Wokół
Jakiejś świętości drżała atmofera.
I ducha mego pochwyciła naraz
Wielka tęsknota, ażeby na barkach,
Jak legendowy Oferus, świat jakiś
Przenieść przez morze nieznanych przestrzeni.
I tak, jak człowiek nagle przebudzony,
Ku niej, siedzącej na mchów aksamitnych
Miękkiej pościeli, zwróciłem swe oczy:
Ucieleśnieniem wieszczego natchnienia
Wydała mi się, wsłuchana w ten poszum
Starego boru. Naokoło głowy,
Wzniesionej w górę, lekki wiew przewiewał,
Igrając włosem, rozwianym, by sypkie
Włókna drogiego jedwabiu, błyszczącym
W promieniach słońca połyskami złota
Rozpylonego. W wilgotnym błękicie
Rozwartych źrenic, a wlepionych we mnie,
Jak oczy łani, lśnił łagodny ogień
Elektrycznego światłością płomienia,
Uwięzionego gdzieś na dnie głębokiej,
Niebieskiej, czystej, jako krzyształ, wody.
Twarz jej oblewał rumieniec. a usta
Nawpół otwarte, oprawione w koral,
Drżały by lekko wywinięte płatki
W koronie róży czerwonej. Zaiste!
W takiej postaci zjawiał mi się nieraz
W snach moich anioł przebaczeń, zawstydzon,
Że jemu przyszło spełniać miłosierdzie
Nad grzeszną duszą, którą on ukochał,
Jak równą sobie... We mgle moich marzeń
Taką stawała przedemną jutrzniana
Miłość, co, chociaż krew zapala w żyłach
I ciało nęci niezwykłą rozkoszą,
Przecież na takie prowadzi wyżyny,
Gdzie duch nasz z wszystkich otrząsa się strzępów,
Z których mu ziemia szyje brudną suknię,
I, jak pokryty wieczystemi śniegi
Wierzchołek góry olbrzymiej, w swej białej,
W swej nieśmiertelnej świeci się nagości
Czysty. a piękny!... Rytmicznie wzrastało
I opadało jej łono; snać w serca
Świętym przybytku brzmiał organ uczucia,
Natrojon szumem i szelestem lasu
Pełnego żaru i wielkiej radości.
Uczułem naraz, że te krwawe bole,
Co przed minutą gryzły tak straszliwie
Me grzeszne wnętrze, stały się już mitem,
I że nie byłem wygnańcem z Edenu,
Ale dopiero w tej chwili, oczyszczon
Przez wargi świeże, wpół ją pochwyciwszy —
Nagle, jak człowiek, porwany zachwytem, —
I przycisnąwszy do piersi, złożyłem
Na tych rozkwitłych, na płonących wargach
Pierwszy całunek — ten symbol wiecznego
Dwóch dusz złączenia i dwóch ciał, o losach
Rozstrzygający człowieczych, potężny,
Utraconego przed wiekami Raju
Słoneczne bramy wkroś otwierający
Symbol....

* * *

Klęczałem u jej stóp, na białych
Płatkach, wyrwanych z wiosennej korony
Jakiegoś kwiatu wiotkiego... Jej ręce,
Jak bluszcz, oplotły drżąco moją szyję,
Usta szeptały rozgrzeszeń wyrazy.
A z jej rozwartych, jasnych ócz spłynęły
Dwie duże krople, by perły, na lica
Zarumienione....

* * *

Powoli, powoli
Rozkołysany las się uspokajał;
Powoli milkła jego pieśń przedwieczna,
Niezrozumiała dla ludzi dzisiejszych,
Ale uchwytna dla duszy poety.
Przebrzmiał już akord ostatni... Wstaliśmy
I śród storczyków i dwonków i mleczów,
Pośród stokrotek, jaskrów i srebrników,
Obok róż dzikich, od których szczęśliwszym
Uczuł się duch mój, dotychczas nękany,
Oferusową dziś przejęty żądzą,
Powracaliśmy, weseli, złączeni,
Błogosławiący tej symfonji boru.

Jan Kasprowicz.

Wiązanki literackie.

II.

Dzieło ks. Zaborskiego o religiach aryjskich

Niema chyba lektury tak wdzięcznej, a tak pouczającej jak historya religii. Stojąca w pośrodku między filozofią a poezyą, głęboka

jest nieprzerwalność tej zabawy. Młodzian, który miał już przyjemność czytać w oryginale Horacego Flaka nie może, literalnie nie może poświęcać wszystkiej, zdobytej mądrości na wyłączne usługi jakiegoś „prezentuj broń!" Początkowo wlewałem w te półobroty, przysiadania, marsze, zwroty i bieganiny z wywieszonym językiem ogromny zapas inteligencyi, teraz uskuteczniam to już zupełnie machinalnym sposobem. Zdarzają się tedy takie kataklizmy, że d i a d ' k a nadwereża sobie umysł wykładem, dajmy na to systematu „broń do ataku!", a ja, wpatrując się uważnie w jego oczy, chytrze i podstępnie rozmyślam o tem, jakie u licha imię nadano na chrzcie świętym obywatelowi jednej i niepodzielnej respubliki francuskiej, niejakiemu Robespierre'owi. Zdarza się również, że słysząc i wykonywując komendę samego feldfebla, najbezczelniej przepowiadam sobie „Eugieniusza Onegina", a nawet prześlicznego „Demona" nieboszczyka Lermontowa. Mniej nudnemi od tête à tête z d i a d ' k ą są dla mnie ćwiczenia, wykonywane wspólnie z rotą. Gdy ziemia dudni pod sztywnym, równym, żelaznym krokiem tłumu ludzkiego, czuję jakąś niewytłomaczoną rozkosz zmysłów. Zakomenderowano: — marsz! Idziemy w jednym szeregu od końca placu, jakby z zamiarem zdeptania starego płotu. I zdaje się, że ten niedołęga drży na swych zgniłych kołkach wszystkiemi żerdziami, że za chwilę, albo padnie plackiem na ziemię, albo podwinie ogon pod siebie i w starczych podrygach tył poda. Kiedy prawie dotykamy go piersiami, — ani o sekundę wcześniej, ani o sekundę później, — rozlega się komenda. Zmieniamy front. Wydaje się wówczas, że słychać radosne westchnienie starego płotu. Za chwilę powtarza się znowu ta sama groźba. Nacieramy całą masą: — raz, dwa, raz dwa!...

Zastanów się teraz głęboko, mój ty cudzie i wyskoku natury, nad tem, coby się stało w razie, jeśliby feldfebel w chwili, gdy ma wrzasnąć basem nad basami — „zwrot — marsz"! — zmuszony był kichnąć. Czy w rzeczy samej złamalibyśmy płot piersiami i po trupie jego w świat poszli?

Niewątpliwie — tak. A gdyby nie nakazano nam odwrotu? Wówczas — wkroczylibyśmy na terytoryum niemieckie, minęli je, dotarli do morza Baltyckiego — i wbród!... Tylko taki mocarz, jak ocean, może stawić opór rozkazom feldfebla. Przed kilkoma dniami debiutowałem w następującej operetce. Sam komendant roty obecnym był na mustrze. Coś mu się w naszych ćwiczeniach nie podobało... Wyprostował tedy całą rotę we dwa szeregi, zwrócone obliczem ku polom i zakomenderował: — na ramię broń — marsz!

Zgadnij też, kochana esencyo przyrodzenia, jaką przestrzeń „trawersowaliśmy" za karę? Ni mniej ni więcej tylko pięć wiorst po zmarzniętej, pierwszej, ostrej grudzie, po polach zaoranych, po rowach, skibach, przykopach, wertepach i krzakach. Notabene trzymaliśmy karabiną bez przerwy w jednej pozycyi — t. j. prawą dłonią za zamek przy biodrze. Czułem pod paznogciami wściekły ból, niby głębokie ukłucia igłą i oczekiwałem, że mi karabin lada chwila z ręki wypadnie. Opanowywała mię rosnąca z każdą chwilą, bezsilna, a dziwnie bydlęca zajadłość. Już — już miałem skoczyć przed front, kazać szeregom stanąć, wziąść broń do ataku i zakomenderować: niech żyje socyalna... ta... jakże się u licha nazywa?...

Tymczasem Czeremisow, zwąchawszy widocznie pismo nosem, kazał przełożyć broń na ramię, a później zawrócić w kierunku miasta.

Czekam wciąż na Twój list. Jeżeli sądzisz, że mi wolno chodzić dzień w dzień na pocztę i niszczyć obuwie Jego Cesarskiej Mości — no to pogrążony jesteś w grubym błędzie.

Twój
Maurycy.

* * *

5 listopada.

Kochany w Oleju! Nareszcie otrzymałem Twoją epistołę, Czytam ją z rozkoszą od początku do końca i od końca do początku. Wszystko rozumiem! Tylko to jedno zdanie... Odczytując je, doświadczam takiego wrażenia,

i przystępna zarazem, daje pożywienie myśli i wyobraźni, a od tych starodawnych pomników twórczości pierwotnej tchnie jakaś świeżość, jakaś siła niezwykła, przypominająca wrażeniepłynące z rzeźb starożytnego Pergamu.

Gałąź tę wiedzy prawie nietkniętą w literaturze naszej obrał za przedmiot swój ks. Zaborski, dając w *Religiach Aryów Wschodnich* (Kraków 1894.) historyę religii Eranów i Indów.

O ile wyczerpująco i bezstronnie zużytkował on najnowsze wyniki wiedzy, o tem zadecydują ludzie bliżej obeznani *ze szczegółowemi badaniami* na tem polu; zaznaczyć tu tylko winniśmy, że nie bez odpowiednio powziętej myśli przystąpił autor do swego przedmiotu. Myśl tę wypowiada we wstępie i w końcu każdego z rozdziałów:

„Pierwotni Eranowie i Hindowie wyznawali religią jednobożną; pojęcia ich religijne i etyczne były wzniosłe, kult prosty, patryarchalny. W ciągu wieków pojęcia ich religijne zostały obniżone i spaczone; ostatecznym wyrazem ich dzisiejszej religii jest bałwochwalczy fetyszyzm. Ten postęp wsteczny, historycznie stwierdzony, doprowadza do wniosku, że pierwotna religia Aryów wschodnich nie była nabytkiem kultury, ale była im daną, objawioną. (str. V).

Możemy przyjąć lub nie wnioski autora, w każdym razie materyał naukowy zawarty w książce nie traci swojej wartości, a materyał ten zebrany jest z licznych prac francuskich, angielskich i niemieckich, zaczerpnięty z przekładów ksiąg świętych tych narodów o których mowa.

Najdawniejszym pomnikiem piśmiennictwa Eranów jest *Awesta* mylnie nazywano zwykle *Zandawesta* (Zand znaczy — *Komentarz* i stoi po nazwie Awesta — która oznacza prawo). Datuje ona prawdopodobnie z XXVI lub XXV w. przed Chr. Przypisywana Zoroastrowi (właściwie Zaratustrze) zawiera ona ustępy niejednakowym językiem pisane i datujące z rozmaitych epok. Właściwie mówiąc można rozróżnić w niej dwie części: „Gathy“ najdawniejsza — stanowi szereg ustępów umieszczonych w rozmaitych działach i świadczących o tem, że pierwotna religia Eranów była jednobożna i wzniosła, kult i etyka czysta. Bóstwo to jedyne nazywa się Ahuramazda; o tem jakie posiadał atrybuty świadczą następujące urywki:

1. Zanoszę tę ofiarę na cześć Ahury Mazdy, stworzyciela świetnego majestatycznego, bardzo dobrego, bardzo pięknego,

2. bardzo stanowczego, który posiada najwyższą mądrość, kształt doskonały, który jest najświętszy,

3. który jest duchem najmędrszym,

4. który nas stworzył, który nas uczynił i karmił; tego ducha, który wszystkiemu daje rozwój...“

Godne uwagi są także podania o pierwszych ludziach, o potopie, „raju“ i „drzewie żywota“, przypominające indyjskie i żydowskie. „Według Awesty *Ima* pierwszy człowiek żyć miał „w miejscu rozkosznem“, gdzie znajdowało się „źródło czystej wody“ Ardwi Sura, a przytem wiele roślin i drzew, a „w pośrodku Gaokerena, której owoc używany jako Homa, nie dopuszczał „starości ani śmierci“. Skoro Ima dopuścił się „kłamstwa“, wówczas „Majestat się oddalił“, drzewo przeniesione zostało za morze Wuriuhasza i powierzone straży Raszniu“. — Taka jest opowieść o upadku pierwszego człowieka.

Zaznaczamy to wzniosłe w porównaniu z żydowską tradycyą pojmowanie grzechu pierworodnego: polega on nie na nieposłuszeństwie, lecz na kłamstwie. Wiadomo, że prawdomówność była kardynalną cnotą mieszkańców pierwotnych siedzib aryjskich. Również wspólne jest zdaje się ludom rasy aryjskiej owo przenoszenie „raju“ t. j. epoki szczęśliwości w przeszłość zamiast jej szukania w przyszłości, jak rozkazuje nam dziś wiara w postęp i doskonalenie się ludzkości, poparta przez doświadczenie dziejowe.

Z podobnemiż podaniami spotykamy się u Indów. Podanie o potopie znajduje się tu w pieśniach *Mahabharaty, w Baghawita Purana* i inni. Rola Noego przypada tu świętemu mężowi imieniem *Manu*.

„W dawnych czasach żył święty mąż imieniem *Manu*, który przez pokutę i modlitwę pozyskał względy Pana niebios. Pewnego dnia przyniesiono mu wody do umycia, skoro począł umywać w niej ręce, ukazała się mała rybka i odezwała się do niego głosem ludzkim w te słowa: — „Miej o mnie pieczę, a ja cię ochronię.“ — „Od czego mnie ochronisz?“ spytał Manu?“ Rybka odpowiedziała: — „Potop zaleje wszystkie stworzenia, ja cię od niego ochronię.“ — „Lecz jakąż pieczę mam mieć o tobie?“ rzecze Manu. Rybka odpowiedziała: — „Dopóki jesteśmy małe, wystawione jesteśmy ciągle na zniszczenie; ryba zjada rybę, — włóż mnie do dzbana; kiedy podrosnę wykop dół i tam mnie włóż: skoro już dół będzie dla mnie zamały, poniesś mnie do morza, które wówczas już dla mnie niebezpiecznem nie będzie“. Powiedziawszy to rybka, zaczęła rozrastać się nagle, poczem odezwała się znowu: „W tym, a tym roku przyjdzie potop; wtenczas zbuduj korab. Skoro tylko zacznie się potop wsiądź na okręt, a ja cię ochronię“.

Tak też uczynił Manu; rybka ciągnęła go na linie z okrętem i wskazała miejsce za Północnemi górami, gdzie miał się zatrzymać: gdy wody opadły, Manu złożył ofiarę, prosząc o towarzyszkę. Wtedy stworzona została niewiasta. — Takie opowiadnie znajdujemy *w Brahmanach,* a porównanie tej wersyi z innemi każe wnosić, że wszystkie są zaczerpnięte z jakiegoś dawnego źródła.

Rolę perskiej Kamy (haomy) pełni u Indów *Soma* — roślina, której napój ma życiodajne własności ambrozyi greckiej, a podobneż znaczenie w mytologii słowiańskiej i litewskiej ma *chmiel,* którego nazwa pochodzi może ze wspólnego z tamtemi źródłosłowu (por. Majewski *Roślina i wyraz chmiel* Warsz. 1893).

Lecz wróćmy jeszcze do *Awesty:* druga jej część, różniąca się i językiem i treścią od Gathów, zawiera doktrynę *Mazdeitów,* przybyszów z Akkadyi. Jest to doktryna na wskroś dualistyczna t. j. oparta na walce złych i dobrych duchów, przesiąknięta czarodziejstwem z zasadniczym kultem ognia.

Najdawniejszym pomnikiem piśmiennictwa Indów, a zarazem i ludzkości są *Righ-Wedy.* I tu objawia się dążność ku monoteizmowi, jak o tem świadczy n. p. następujący „Hymn do Stworzyciela:“

Jakiemu Bogu mamy składać ofiary?
Temu niech nam wolno będzie, który powstał jako złoty
zarodek
Na początku, który urodził się jako pan —
Jedyny pan wszystkiego co jest — który uczynił
Ziemię, utworzył niebo, który dał życie,
Który dał siłę, któremu bogowie pokłon składają,
Którego ukrytą siedzibą nieśmiertelność,
Którego cieniem śmierć; który swą potęgą jest królem
Wszystkiego co oddycha, śpi lub czuwa.
Skoro przeszły wielkie wody, zostało nasienie,
Zrodził się ogień, wówczas powstał ten,
Który jest tchnieniem i życiem wszystkich bogów.
Którego potężny wzrok rozpatruje się w wielkich przestworach
Par eterycznych — źródłach siły,
Przyczynie ofiar — Jedyny Bóg
Ponad wszystkie bogi.

Mimo to jednak figuruje w Rig-Wedzie spora ilość bogów: Indra i Waruna, Agni (ogień) i Soma, Waju i Rudra i t. d. Jedne z nich atoli są upostaciowaniem pojęć oderwanych, inne atrybutów, a obok nich istnieje cały szereg wyrażeń jak *Pradżapati* Pan stworzenia, *Wiswakarman* Twórca swiata, *Maha Asura* Wielki Duch i t. d. przechylający się ku monoteizmowi, a nawet w jednym z hymnów znajdujemy te słowa:

„Duch boży jawi się w niebie, a nazywają go Indrą, Mitrą, Waruną, Agni; to co jednem jest jestestwem, nazywają mędrcy wielu imionami.“

---

jakbym miał zupełne prawo do zwymyślania Cię od idealistów. Piszesz, że należałoby tu coś robić. Ładne słowo... W koszarach, czyli „kazarmach“ siedzą rzędem Krywicze, Wieś, Mordwa, Czuwasze, Letgoła, Tatarzy, Czukcze, Ukraińcy, Białorusini, Żmudzini. Siedzą i czekają... Przyjdź i zaczynaj! Kochany facecie! Wydaje mi się, że tu wszystka nasza wiedza nie zda się na owinięcie szczypty „machorki.“ Cóżby naprzykład powiedzieć? Każdy z tych wojowników należy do jakiegoś etnograficznego szczepu, odrębnego od innych, sąsiadujących z nim w państwie, szepce modlitwę do swego własnego Boga (czasami nawet bożka) niepojętemi dźwiękami i w sposób nieraz absolutnie przekraczający granicę naszego poznania, żeza czemś, skni. Kilka dni temu pewien, zdaje się, szwed z nad zatoki Botnickiej opowiadał mi o swej okolicy. Mówił po rosyjsku i zapomocą tych kilku wyrazów, jakie umie, starał się wyrazić piękność swego kraju. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego siwych oczu, gdy mówił:

— Tam jest krótka trawa, mała trawa, nie taka... Tam jest woda czysta — och — och! — zimna woda... Woda leci z góry... Woda jest biała i w wodzie muzyka gra, ciągle śpiewa, ciągle śpiewa... Tu niema takiej wody. Tu jest nieładna ziemia...

Jest to ogromna horda barbarzyńców z rozmaitych stron przypędzona bezlitosnym biczem do podlaskich Wieprzowodów w celu zatrwożenia wszelkich Polaków. Wyobrażam sobie czasami (w wolnych chwilach), że jestem inteligentnym rekrutem w zastępach Hamilkara, że wkrótce wola mojego pana popędzi mię wespół ze staddm na zdobycie wiosek kwitnących, gór niebotycznych, miast cudownych — i marzę o tem, jak to będziemy grabić, ile serce zapragnie. Czyż podobna zacząć dysputę, z jakimś reprezentantem szlachetnych Czuwaszów, dajmy na to, o tajnem, powszechnem i bezpośrednim głosowaniu, albo chociażby o wolności prasy? Czy warto zawiadamiać go o istnieniu dobrej i pięknej nadwartości — wobec tego, że ten obywatel przynajmniej cztery razy na tydzień ma t. z. mordę zbitą pięściami feldfebłów, praporszczyków, podporuczników i sztabs-kapitanów, a jednak z niewysłowioną radością wyje ura! — ujrzawszy pułkownika, który również może mu lada chwila zepsuć paszczękę. Cóż mogę powiedzieć tym barbarzyńcom ja, tęskniący za wyśnioną przyszłością, za tą przyszłością, kiedy „otartą będzie z oczu ludzkich łza wszelka“?

Pewnego pięknego poranku zbudził mię ze snu bardzo rano hałas w koszarach. Ubrałem się szybko, wcześniej, niż moi koledzy, i wszedłem do pierwszej sali żołnierskiej. Oczom moim przedstawił się pejzaż następujący. Żołnierze byli poubierani w szynele, mieli na sobie tornistry i stali w szeregu, trzymając karabiny przy nogach.

Przed frontem przechadzał się sam pułkownik. Jest to niski, szczupły i elegancki grek — Leonidas Iwanowicz Pizipios. Oczy ma prześliczne, czarne, ale złe, jak u pewnego gatunku maitych kundysów owczarskich. Orli, chrząstkowaty, przepysznego kroju nos jego zgina się często od jadowitego uśmiechu, głowa, ozdobiona czarnemi kędziorami, przechyla się na bok, kiedy łagodnie na pozór zaczyna indagować. Jest to nieposzlakowany służbista, majster między pułkownikami. Zdarza się, że staje niespodziewanie w koszarach i sam zaczyna słuchać katechizmu żołnierskiego. Wyobraź sobie jakiegoś Łotysza, albo Czuchnę, który ani jednego rosyjskiego wyrazu nie tylko nie rozumie, ale nie może, literalnie nie może, wykrztusić, jakiegoś żmudzkiego parobka, albo ciurę kirgiza, gdy im każą wykuć na pamięć cały kodeks patryotyczny i deklamować przed pułkownikiem. Żaden na świecie zbłąkany pies, żaden zając, ścigany przez ogary nie czuje takiej trwogi, takiej ohydnej trwogi, jaka trzęsie wówczas tych, — żal się Boże, — ludzi. Pułkownik Pizipios słaby jest na nogi (choruje, borak, na niеładny przymiot) — podpiera się tedy grubą trzcinową laską o srebrnej gałce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stan ów pojęć opisał: Max Müller jako *henoteizm;* autor polski polemizuje przeciwko wprowadzeniu tego określenia.

Ciekawa jest pod tym względem odpowiedź pewnego uczonego Hindusa z okolic Bombayu na zapytanie Sir Monier Williamsa:

„Wszyscy prawowierni Hindusowie, pisze ów bramin, wyznają jednego Ducha Powszechnego, który jest Najwyższym Panem Wszechrzeczy. A zarazem wyznają, że tenże jedyny Bóg przyjął różne kształty, które z tego powodu mogą być czczone; tak jak złoto, które wszędzie jest jednakowe, chociaż w różnych krajach przybiera różne kształty i nazwy. Każdy człowiek wybiera sobie ulubionego Boga lub przedmiot boski i takowemu oddaje cześć...... W końcu każdej ceremonii mówimy: „przez ten czyn niech Najwyższy Pan będzie uwielbiony". Stąd, jakkolwiek wydajemy się wam czcicielami wielobożnymi, rzeczywiście wyznajemy jednobożność".

W istocie kult podrzędnych objawień i przymiotów Bóstwa nie zakłóca w większym stopniu zasadniczego monoteizmu, niż n. p. cześć oddawana świętym patronom i relikwiom.

Na późniejsze przekształcenia pojęć religijnych w Indyach wpłynęły szkoły filozoficzne. Kiedy księgi *Sama-Weda, Jadżur-Weda i Atharwa-Weda* zostawiają dogmata Rigwedy prawie nietkniętemi również jak i stare *Upaniszady — Sutry i Dharmy* wchodzą na nowe tory. Ze szkół filozoficznych wpływ wywarły *Wedanta* — szkoła monistyczna, którą wielce przyczyniła się do rozpowszechnienia w Indyach pojęć wszechbożnych *(panteizmu)* i *Sannhya* — doktryna ewolucyjna, która w następstwie rozpadła się na dwa kierunki — bezbożny i zbożny: pierwszy wydał nihilizm, drugi wielobożność *(politeizm).* Brahmani należący do tej szkoły przekształcili odpowiednio do jej pojęć i buddyzm pierwotny.

Obecny stan religii w Indyach streszcza się w trzech głównych odłamach:

1) *Wisznuizm* — który jest wyrazem rozstroju pierwotnych pojęć religijnych Indów pod wpływem chrześcijańskiego pojęcia wcielenia. Niezliczone wcielenia czyli *Awatary* — *Wisznu* stają się samodzielnymi bożkami. W ten sposób wytwarza się politeizm.

2° *Siwaizm i Saktyzm* — te odłamy powstają pod wpływem hamickim. Siwa ma cztery atrybuty: jest Tworzycielem i Niszczycielem, Ascetą i Rozpustnikiem.

Ostatnie dwa atrybuty są źródłem ascetycznych samobójstw ze strony gorliwych czcicieli oraz rozpustnej klasy kapłanek *Dewa-dasi* (niewolnic bogów). Saktyzm jest odmianą siwaizmu.

3° *Buddyzm* — ta najrozleglejsza z religii świata jest jak wiadomo późniejszego pochodzenia i etyką swą zbliża się do chrześcijaństwa.

Taka jest w najogólniejszym zarysie treść dzieła ks. Zaborskiego. Nie jest to książka taka, którąby mógł zadowolnić się studyujący historyę religii Aryów wschodnich. Dwie okoliczności stoją temu na przeszkodzie: najprzód zaznaczona już powyżej naprzód powzięta myśl, chęć udowodnienia, że pierwotne religie aryjskie były czyste i objawione, a stopniowo z biegiem wieków ulegały spaczeniu; powtóre brak głębszej i wszechobejmującej syntezy, brak wynikający może głównie z usiłowania i nagięcia faktów do owej naprzód powziętej idei. Jeśli jednak przeczytanie tego dzieła nie rozświetli czytelnikowi wszystkich zagadnień dotyczących przedmiotu, to w każdym razie wielu znajdzie w niem przyjemną i zachęcającą do dalszych studyów lekturą, a obfitość wyciągów z pierwotnych źródeł oraz piękny i zajmujący wykład, wytworny język czynią opowiadanie żywem i lekkiem.

Wł. M. Kozłowski.

NA WYŁOMIE.

(Prośba o urlop. Taktyka wrogów. Sprawa p. Wittenburga),

Z pewną nieśmiałością rozpoczynam dzisiaj pogadankę moją. *„Prośba o urlop"* — takie słowa czytacie w nagłówku.

Przyzwyczaiłem się do tej tygodniowej spowiedzi w konfesyonale „Przeglądu"; gdy złość złość ludzka stopy kąsała, — gdy nicość umysłowa, przybrana w fałdzistą togę powagi, wspinała się na wyżyny społeczne — gdy postronne ambicye lub polityczna psychoza biły pokłony przed bałwanem wyuzdanego prusofilstwa, — gdy średniowieczny obskurantyzm z okrzykiem „Zagaście światło!" przebiegał rynki i ulice, — gdy ludzie z bezmyślnym uśmiechem krążyli w około, a „gmach na trzęsawisku" chwiał się i rysował, — gdym szukał młodzieży: orłów i sokołów, a starców drużynę spotykał na drodze, — wtedy muzyka szyderstwa i żalu serdecznego brzmiała *„na wyłomie"*, a w tonach tych ból się rozpływał, choć na minut kilka.

Spowiedź publiczna działa jak morfina. Obie ulgę przynoszą *chwilową* i przywyknąć do nich tak łatwo.

Z czasem jednak znużenie jak ów mityczny wampir w mózg się wpijać poczyna. Jest to charakterystycznym objawem patologicznym u ludzi pracujących umysłowo, a mianowicie u nas publicystów, pływających wiecznie na wzburzonych falach, że jakiś dziwny nieprzezwyciężony wstręt do wrzawy wojennej, do dzienników, książek i tłumów niekiedy duszę ogarnia. Uczucie czczości jak mgła jesienna przenika wszystkie pory organizmu, każdy dźwięk ostry rani jak sztylet, żywa dysputa gra w uszach naszych jak piekielna wrzawa, uśmiechy ludzkie zdają się grymasem, każdy protest brutalnością, każda skarga niesmacznym lamentem. I wtedy praca staje się męczarnią, — jakimś sztucznym gwałtownym wysiłkiem, — rozdźwiękiem czynu i myśli. Machinalnie wstępuje się w szeregi, machinalnie przegląda stosy dzienników, machinalnie słucha dyskusyi, kłótni, referatów, machinalnie piórem czerni papier biały, a w głowie syczy szatan zmęczenia: Cóż to wszystko obchodzić mnie może? Czegóż wy chcecie odemnie? Ciszy, ciszy! choć moment jeden spokoju!

Z takich przesileń zrodziły się według mojego przekonania wszystkie *„retournons à la nature"* obecnego i ubiegłego stulecia, a mylą się ci stanowczo, którzy w tej tęsknocie za spokojnem ustroniem, nie zarażonem tchnieniem cywizacyi, za kulturą pierwotną, prostą, niezłożoną, widzą objaw zdrowia duchowego.

Tęsknocie takiej podlegają najwyższe umysły, podlegał jej Rousseau i Göthe — podlega jej wreszcie w pewnych chwilach życia każde indywiduum, wznoszace się ponad poziom umysłowej przeciętności, ale wszędzie i zawsze jest to patologiczny objaw znużenia. Myśl niespokojna, rwąca się naprzód, szamotająca się w więzach stosunków, mgłą się powoli zasłania, a wtedy zjawia się marzenie o Robinzonadzie na odludnych wyspach, i wędrowiec bezsilny poczyna zazdrościć kirgizowi jego stepu szerokiego i pustelnikowi jego samotności. Chłopomania rosyjskich ludowców i pierwszych romantyków polskich, to *sui generis* dekadentyzm swojski.

Tęsknota za naturą zatem, jako system społeczno-filozoficzny, budzić musi poważne wątpliwości tak ze względu na swoje motywy psychologiczne jak praktyczną niewykonalność, — jeżeli jednak występuje ona jako *przejściowa* potrzeba spoczynku, z którego nowa siła się wyłania, to prawa bytu nikt jej odmówić nie może. Jest tam instynkt samozachowawczy, wiodący dusze znużone do krynicy orzeźwiającej, do kastalskich źródeł, — błogosławmy mu błogosławmy ciszy!

Mówi „pro domo", — powiecie. Być może! Ale czyż wyraz „pro domo" równa się fałszowi? Schodzę z posterunku na dni kilkanaście i jak zwykle spowiadam się z duszy tajników. Siły nam trzeba do wielkiej kampanii zimowej, która znów muzyką sprzecznych interesów społecznych i ekonomicznych napełni kresowe dzielnice. Siły nam trzeba i Argusowej czujności, bo księga bojów niedawnych opowiada dziwy interesujące o barbarzyńskiej etyce bogów i półbogów politycznego Olimpu. Znam luminarzy poznańskich, którzy dla zdeptania przeciwników pukali do bram policyjnych i wrogą ideę przy pomocy pruskich żandarmów zgnębić pragnęli. Znam kazalnice, z których rzucano potępienie na szermierzy nowych kierunków i łamano świece nad temi, którzy tań-

JERZY BRANDES.

UCZUCIE NARODOWE.

(Mowa wygłoszona przy poświęceniu nowego gmachu wolnomyślnego związku studenckiego w Kopenhadze w dniu 1go lutego 1894. roku.)

Tłom. **W. R.**

(Dokończenie.)

Pomoc prawnicza to droga kultury i drogą kultury są szkoły robotnicze.*) Dążenie zapoczątkowane przez wolnomyślny związek studencki w celu utrzymania łączności między północnym Szlezwigiem a Królestwem, aby zachować granice duńskiego języka i duńskiej kultury, jest dla nas Duńczyków również pierwszorzędnem zadaniem kulturnem. Narodowy obowiązek nakazuje nam bronić języka naszego i wytężyć wszystkie starania, aby język ten ani jednej piędzi ziemi nie utracił. Niemcy sami gardziliby nami, gdybyśmy w tym względzie obowiązek nasz zaniedbali.

Dążyć nam trzeba wszystkiemi siłami ku temu, aby w kraju naszym tryskały źródła kultury. Nie możemy ich stworzyć — to jasne — ale możemy usilnie nad tem pracować, aby przeszkodzić zapchaniu. Przykład powinien iść z góry. Gdyby najsłynniejszy z wszystkich Duńczyków, Hamlet, był dzisiaj księciem Danii jak w Szekspirowskim dramacie, to świeciłby z pewnością przykładem. Nie tylko za aktorami ująłby się ten książę, — lecz ofiarowałby rok w rok pewną sumę na zakupno rzeźb i obrazów, aby użyć artystom naszym, którzy obecnie tak ciężko walczyć muszą z ubóstwem. Gdyby tylko rocznie 50,000 koron na cel ten przeznaczył — a suma ta nie sprawiłaby Hamletowi uszczerbku, — to sztukę duńską poparłby skutecznie. O! Hamlet nie pozwoliłby nigdy, aby go piwowar blaskiem swoim zaćmiewał.*)

Nasza tak zwana arystokracya, kokietująca chętnie patryotyzmem, kupuje mianowicie takie obrazy i książki, które nie są dziełami sztuki i nie stara się o żadne zbliżenie do tych żywiołów, które bądź to kulturę w kraju produkują, bądź ją wspierają. Trzech czy czterech zacnych przemysłowców kopenhagskich to pociecha naszych malarzy, a rzeźbiarzom pozostał tylko ów jedyny wzniosły piwowar. Na arystokracyą nikt nie liczy i nie spodziewa się od niej niczego. Książki, u nas tak drogie, ci tylko nieomal kupują, którzy środków po temu nie mają. Życzyć należy, aby stosunki te zmanie uległy, bo w przeciwnym razie pomści się taki brak uczucia narodowego u wyższych stanów. Czuć coraz więcej, że ludzie bez wykształcenia wyrastają nam ponad głowy. Smutne to wszystko, a najsmutniejsze to, że Dania nie ukazuje bynajmniej na rynkach światowych szczęśliwie rozwiniętych zdolności i talentów, któremi bez owych niefortunnych stosunków ojczystych mogłaby się w nowszych czasach bez wątpienia poszczycić.

Aby wzmocnić odwagę naszą, musimy sobie uprzytomnić to wszystko, co podnieść może zaufanie do własnych sił. Rolnictwo nasze i mleczarstwo zyskują sobie coraz wyraźniej świadectwo wzorowości. W nauce i sztuce zajmujemy bezsprzecznie względnie wysokie stanowisko. A jeżeli stanowisko duńskiej i norwegskiej literatury wobec zagranicy sprawiedliwie porównać chcemy, to zauważyć należy:

*) Wolnomyślny związek studencki w Kopenhadze założył biuro pomocy prawniczej, w którem ludność uboga otrzymuje bezpłatną poradę. Oprócz tego założył ten związek szkoły wieczorne, gdzie robotnicy i robotnice otrzymują bezpłatną naukę w językach oraz

*) Piwowar Jakobsen podarował miastu Kopenhadze cenną galeryę rzeźb, tak zwaną glyptotekę.

czyć nie chcieli według piszczałki politycznych organistów. Znam poufne okólniki, w których zalecano ogniem i mieczem ścigać postępowe kolumny i tarasować bramy komitetów wyborczych, aby do przybytków jednomyślności i bałwochwalczego posłuszeństwa nie wtargnął wróg autorytetów. Znam szereg kalumnii i kłamstw rafinowanych, które rozsiewało bractwo wzajemnej adoracyi, dla zniesławienia lub oślepienia przeciwników — znam i biczem bezlitośnej satyry świsnę im nad uchem. Dziś dwa słowa tylko rzucę na pożegnanie:

Gdy przed kilku tygodniami dzienniki opozycyjne rozniosły po świecie wiadomość, że prezes komisyi kolonizacyjnej, p. Wittenburg, zasiada w komitecie poznańskiej wystawy, wtedy lojaliści miejscowi dla zaśrubowania ust patryotom oświadczyli wyraźnie, że główny maszynista kolonizacyjnego taranu opuścił komitetowe szeregi. Nastała cisza. Gdzieniegdzie pojawiały się wprawdzie pogłoski, że wieść o wystąpieniu jest tylko woltą polityczną, ale sygnały te mijały bez wiary i wrażenia. Dziś głosy te odzywają się coraz natarczywiej i coraz wyraźniej. *Caveant consules!* Żądamy wyjaśnienia.

Sulla.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Emancypacya i feministki.

Do każdego nowego kierunku powstającego w społeczeństwie przyłącza się w charakterze szermierzy pewna garstka fanatyków — doktrynerów i zapaleńców, którzy przez nadmierną swą gorliwość, a niedostateczną rozwagę i inteligencyą w karykaturę obracają myśl zdrową nieraz i zbawienną. — Ogólną ich właściwością bywa to, iż niezdolni do zrozumienia głębszych przyczyn i dalszych celów nowego prądu, chwytają głównie zewnętrzne jego strony, a przez swój wojowniczy animusz i ślepą zapalczywość robią wiele hałasu o drobnostki, pomijając rzeczy główne i zasadnicze. — Są to krzykacze i pajace w bojującej armii; przyczyniają jej wprawdzie rozgłosu, lecz zwykle szkodzą jej bardzo, dając przeciwnikom w rękę broń najniebezpieczniejszą: słuszną podstawę do czynionych zarzutów. Ruch, który dążył do emancypacyi czy równouprawnienia kobiety, nie różnił się pod tym względem od innych. — Wszystkie niemal zarzuty, które emancypantkom czyniono i czynią, usprawiedliwione są o tyle — o ile się właśnie jedynie do owych krańcowych krzykaczek emancypacyi odnoszą.

Przeciw dążeniom kobiet walczono przedewszystkiem bronią satyry, wyśmiewano je po prostu, przez co naturalnie odstręczano płochliwą, pozbawioną cywilnej odwagi większość od łączenia się z ruchem. Była to może ze względu na charakter przeciwniczek broń najskuteczniejsza. Nie- darmo wychowywano całe ich pokolenia w czci nieograniczonej dla światowego kodeksu, w bojaźni opinii ludzkiej, słusznie też można się było spodziewać, że tylko wyjątki bohaterskie lub awanturnicze dla idei wystawić się zechcą na śmieszność. Nie można zresztą twierdzić, aby tylko w odniesieniu do pięknej połowy rodzaju ludzkiego walka na tej drodze przedstawiała szansę — przyznać trzeba wszakże, że wpływy wychowania znacznie tę szansę zwiększały. Nie przypuszczamy mimo to, aby wzgląd ten psychologicznej natury w tym razie o wyborze broni decydował; składały się na niego inne przyczyny.

Jeśli słaby bunt podniesie na mocnego bez żadnej nadziei ani prawdopodobieństwa tryumfu, wtedy czyn jego nie tragiczne, lecz komiczne sprawia wrażenie, nie bohaterstwem się wydaje, lecz donkiszoteryą. Większość mężczyzn traktując ruch kobiecy z wysokiego piedestału swej niezaprzeczonej i niezachwianej przewagi, polegając na niewzruszonych, wiekami uświęconych przywilejach, sądziła, iż do walki z ową lilipucią siłą nie warto wytaczać dział grubszego kalibru i raziła napastników gradem żartów dość złośliwych zresztą — czemu znowu dziwić się nie można. Wojsko mrówek wchodziło im w drogę. To postępowanie świadczy naturalnie o lekceważeniu przeciwnika, lecz w rezultacie nie dowodzi niczego. Lekceważenie nieprzyjaciela nie zawsze do zwycięstwa prowadzi. (Patrz: Historya Francyi w r. 1870).

Pomijając tę nawiasową uwagę stwierdzam krótko fakt, że emancypacyą ośmieszano, a pewna grupa emancypantek ułatwiała to zadanie — popełniając tysiące dziwactw, które ani z ruchem kobiecym w ścisłym nie stały związku, ani też jego treści nie stanowiły. — Do takich dziwactw, których na rachunek całego kierunku zapisywać nie można, zaliczyć należy przedewszystkiem manifestowanie nieniawiści do mężczyzn obok naśladowania ich lub małpowania na ślepo w zwyczajach, postępkach, stroju, manierach i tych wszystkich, czysto zewnętrznych drobiazgach, które ani podstawy przywilejów męzkich nie stanowią, ani też na podniesienie stanowiska kobiet wpłynąć nie są w stanie. Podczas, gdy emancypacya rozumna stawiała sobie za cel rozszerzenie zakresu pojęć i działalności kobiet i zapewnienie im prawa swobodnego rozwoju — krzykaczki emancypacyi pojmowały ją wyłącznie jako walkę z mężczyznami, walkę na każdym kroku, nieustającą, uporczywą rywalizacyą i w tem, co korzyść przynieść mogło i w tem, o co ubiegać się nie było warto.

Jakkolwiek w obecnej porze kobiety o wolność walczące nie mogą się jeszcze zwycięstwem pochlubić — nie mniej zdobyły już nie jeden dość ważny posterunek, a przedewszystkiem to zyskały, że ich żądania całkiem poważnie rozpatrywane, niekiedy nawet uwzględniane bywają. Dość wyraźne już owoce pracy i działalności kobiet budzą nawet u ogółu szacunek dla wytrwałych szermierek postępu i uczą go robić różnicę miedzy poważną, rozumną dążnością a krzykliwą demonstracyą. To, co dawniej jako charakterystykę całego ruchu kobiecego wyśmiewano i piętnowano, dziś odnosić się zwykło do pewnej tylko grupy kobiet zwykle feministkami zwanych. — Nazwa ta określa dość trafnie rzecz samą. Feministki, to istoty, w oczach których szpetna połowa rodu ludzkiego jest niepotrzebną a nawet wprost szkodliwą załogą na obszarach ziemskich przez ludzkośc zamieszkałych, zaporą do wszelkiego postępu, naturalnym wrogiem jedynie na uwzględnienie zasługującego kobiecego świata. W rozprawach i przemówieniach feministek wyraz „mężczyzna“ brzmi również ostro jak na mityngach socyalistów wyraz „kapitalista“ lub „bourgeois“ — budzi rozdrażnienie, niechęć, a jednak powtarza się ciągle i podsyca zapał rycerski uczestniczek. Słysząc ich dyskusye zdawaćby się mogło, że nie na to się zbierają, aby swoje własne interesa obrabiać i protegować, lecz na to, aby krzyżować interesa mężczyzn; nie o to im chodzi, aby dla siebie jak najdogodniejsze, lecz o to, aby dla nich jak najgorsze warunki wytworzyć. — Na wszystkie sprawy ludzkie patrzą wyłącznie ze swego stronniczego stanowiska. Nie istnieją dla nich inne cele, idee, dążenia, jest tylko kwestya kobieca, jej wrogowie i obrońcy. Czynem doniosłego znaczenia jest dla nich tylko to, co sprawie kobiecej służy — szkodliwem i oburzającem jedynie, co jej szkodę przynosi. — Przedewszystkiem zaś zupełnie nie pojmują i nie uznają

łowie stulecia wydała, Soeren Kierkegaard, pozostał z powodu izolującej potęgi języka i ciężkiej treści dzieł swoich Europie zupełnie nieznanym w tym właśnie czasie, w którym mógłby był działać i wpływ wywierać niezawodnie. Gdy nazwisko H. C. Andersena rozbrzmiewało w całej Europie, sięgało nazwisko Kierkegaarda tylko do Schonen. H. C. Andersen był przez długi czas naszym jedynem europejskim nazwiskiem i zaiste nie mogła Dania urość w opinii, skoro sądzono, że piastun tego nazwiska jest naszym duchem najpotężniejszym.

Norwegczyków spotkał los nader szczęśliwy, że Ibsen, który powstać nie mógł bez Kierkegaarda jako premisy, i który mimo swojego poetyckiego bogactwa równać się nie może z Kierkegaardem pod względem głębi filozoficznej, pisał w formie dla wszystkich zrozumiałej. Inną dla Danii nieszczęśliwą okolicznością jest to, że jej najznakomitsze, najartystyczniejsze utwory należą do działu lirycznej poezyi, której tłomaczyć nie można, a zatem u obcych należytego uznania znaleźć nie mogą. Jasnem jest oczywiście, że gdyby były tak orginalne jak liryki Henryka Heinego, to rozsadziłyby niewątpliwie pęta językowe. Ale mimo to! jakże potężnym artystą jest taki Winther! Jakże beznagannym! jakie źródło piękności tryska w rymach jego! Zaiste! nie potrzebujemy się czerwienić, że Arne Garborg jest sto razy więcej znanym za granicą od niego.

Talentu lirykom naszym nie brakło ani dawniej ani dziś. Drachmana poezye zasługują istotnie na to, aby równie znane były jak proza niejednego Norwegczyka. W przekładach jednak ginąć muszą ich zalety językowe i rytmiczne, ginąć musi ich bogactwo nastrojowe. Sława światowa nie jest z pewnością w żadnym razie dziełem przypadku, ale nie jest również sprawiedliwą miarą. Björnsona opowiadania prozą znane są w całej Europie. Któż jednak zna Goldschmidta? A przecież są wśród utworów jego takie arcydzieła sztuki, takie subtelne i treściwe, że lepszych nie napisano nigdzie.

Jeżeli, moi panowie, ustawicie na kawałku papieru w kolumnach norwegskie i duńskie nazwiska a kolumny te podzielicie na rubryki: Liryka, powieść, dramat, komedya, historyografia, krytyka sztuki, krytyka literatury, żurnalistyka, — to przekonacie się może, że mimo niezaprzeczonej wyższości, którą kilka nazwisk *hors ligne* na jednem jedynem polu Norwegii zjednuje, Dania ogółem nie zajmuje niższego stanowiska. Dania n. p. posiada w Hörupie talent żurnalistyczny tak znakomity, że równego nie znajdziesz w skandynawskich krajach; jest to mistrz sztuki stylistycznej, który niestety nie pisze popularnie, którego rodzaj twórczości jednak nie ma drugiego przedstawiciela po za obrębem północy. Ani Szwecya, ani Norwegia nie posiada liryka o talencie Drachmanna, ani historyków sztuki równych Juliuszowi Lange i Karolowi Madsen.

W dziedzinie dramatu, romansu i nowel mamy cały szereg subtelnych i silnych talentów. Jeżeli nie dorównują one Norwegczykom pod względem śmiałości i zręczności w chwytaniu olśniewających i sensacyjnych tematów, to pod względem artyzmu nie ustępują im bynajmniej.

Działajmy więc, ile sił starczy, w zamiarze powtórnego wprowadzenia nazwiska Danii do obcych portów, aby również i u nas spotęgować przedsiębiorczość i osobistą inicyatywę. Zamiast rozpisywać premie na potulność, witajmy radośnie literacką i artystyczną odwagę, rwącą się do wielkich zadań. Zniszczmy opinią, że kultura nasza jest starą, a młodą Norwegczyków kultura. Kultura Norwegczyków nie jest w rzeczy samej ani pół godziny młodszą od naszej. Podobnie jak my tak i oni otrzymali z rąk Holberga swój chrzest kulturny, a kultura, która tylko 170 lat życia liczy, starą zaiste nazwać się nie może. Cóżbyśmy dopiero o kulturze greckiej powiedzieć mieli?! Tymczasem wszystkie siły wytężyć należy, aby w Europie rozszerzyć wiadomości o tem, co już posiadamy, i starać się energicznie, aby nasze indywidualne życie rozwinąć.

Nie zatailem przed wami niczego, co nas Duńczyków uciska i paraliżuje, a w pierwszym

kobiet, które prace swe, starania i trudy innym celom niż obronie swej płci przed despotyzmem męzkim poświęcają. W ich oczach są one niegodnymi zdrajcami, odstępcami od sztandaru, który dla każdej niewiasty świętością być powinien.

Zdarzyło mi się słyszeć w Warszawie w pewnem towarzystwie wyłącznie żeńskiem rozmowy niezmiernie charakterystyczne. — Jedna z feministek zarzucała obecnym nauczycielkom obojętność dla sprawy kobiecej i zbyt wyłączne oddawanie się zawodowej pracy: „Nasza zawodowa praca, odpowiedziano jej, ze sprawą kobiecą łączy się jak najściślej. Sądzimy, że lepiej służyć jej nie możemy jak podnosząc umysłowy i moralny poziom przyszłego niewieściego pokolenia, budząc w niem samowiedzę, chęć do pracy, szlachetne dążności i wyższe zamiłowania.“ — „To nie dosyć, odparła przeciwniczka męzkiego rodu. Praca pedagogiczna nastręcza wam wiele pola do służenia sprawie kobiecej, lecz wy go nie wyzyskujecie. Powinnyście w uczennicach waszych nieustannie budzić zapał dla naszej sprawy, poczucie krzywd naszych i chęć otrząśnięcia się z niewoli. Każdy wasz wykład niechaj będzie tym duchem przejęty. Ucząc historyi podnoście w niej przedewszystkiem te punkta, które na położenie kobiet światło rzucają lub ich zasługi wykazują...“ „To już nie będzie historya tylko propaganda“, zarzuciła jedna z obecnych. „Ucząc staramy się uczyć jak najlepiej, aby tym niecnym mężczyznom konkurencyą robić“, odparła żartobliwie druga. „Tendencyjne zabarwienie wykładu ujmuje mu wartości“. „Zdaniem naszem, odezwała się trzecia, podstawą reform, do których dążymy, musi być rozwijanie w dziewczętach samodzielności umysłu i charakteru. Przez narzucania z góry przyjętych teoryjek i formułek zabijałybyśmy tę samodzielność. Uczmy je przedewszystkiem myśleć logicznie a one same niechaj wybierają potem ideę, której służyć zechcą.“ „Czy Pani kwestyą kobiecą nazywa teoryjką?“ zapytała już mocno podrażniona feministka. „Czem jest zdaniem Pani kwestya kobieca?“ rzucono jej zapytanie. — Odpowiedzi nie otrzymano: nasza feministka nie chciała jej w kilku streścić słowach, a choć ofiarowała się natomiast odczytać kilkanaście arkuszy drobnym maczkiem pisanej prelekcyi swej na ten temat, nikt nie miał odwagi jej wysłuchać.

Osoba ta, jak się ktoś wyraził, dotknięta „kwestyokobiecomanią“ ma w społeczeństwie naszem dość liczną grupę współwyznawczyń. Ich kobiecy fanatyzm daje powód do tysiącznych żartobliwych wycieczek, konceptów, anegdot krążących w towarzyskich rozmowach i przeciskających się do dziennikarskich felietonów, a nawet do literatury. — Prus niejedną swą kronikę wyśmiewaniu feministycznych dziwactw poświęcił, piętnował je Świętochowski w Liberum weto, a panna Howard w „Emancypantkach“ jest z życia wziętą, dość podobną, bynajmniej nie szarżowaną i nawet trochę bladę w stosunku do oryginału fotografią.

O kółku feministek opowiadają różne wieści, za których prawdziwość jednak ręczyć nie można. — Mówią, że jedna z nich stara się wciągnąć do swego towarzystwa każdą osobę, o której słyszy, że się z mężem rozwodzi, a zapytana o swego małżonka odwraca się plecami. — Inna rzuciła myśl założenia klubu kobiecego, w którym feministki grałyby w karty i piły szampana, boć dlaczego kobiety nie miałyby korzystać z tych samych praw, co mężczyźni? — Faktem pewnym jest, że feministki założyły bibliotekę bardzo bogatą wyłącznie z dzieł emancypacyi poświęconych złożoną.

Mimo wielu śmieszności, błędów i dziwactw nie można jednak tym kobietom niejednej odmówić zasługi. Mężczyznom mimo najszczerszych chęci nie dokuczyły zbyt srogo, o ile bez dokładnych wiadomości o ich prywatnem życiu twierdzić można, natomiast nieraz istotną przysługę oddały kobietom. Popierając wszelkie kierunki kobiecej pracy, starając się dla niej o pola zbytu, informując przez pisma ogół kobiet o możliwych i korzystnych dla nich zawodach, warunkach w jakich się praca ich dokonywa, trudnościach, które napotykają i środkach do ich zwalczania — dały dowody rzeczywistej i dobrze skierowanej energii i zasłużyły na to, aby im ich dziwactwa i śmieszności wybaczyć. To właśnie kółko feministek wywalczyło dla kobiet wstęp do towarzystwa popierania przemysłu i handlu — może się więc dość ważnem w ostatnich czasach poszczycić zwycięztwem. Feminizm zresztą nie jest naszym krajowym produktem; importowany z zachodu, u nas znalazł grunt dość nieprzyjazny i nie ma szans rozszerzania się nadmiernego.

Stają mu do tego na przeszkodzie prócz ogólnych, w naturze ludzkiej tkwiących warunków także specyalnie z naszego politycznego wynikające położenia. Większość Polek zbyt gorąco przejęta jest cierpieniami i potrzebami narodu, aby módz się zapalać do walki z silniejszą niby, lecz również uciśnioną jego połową; zbyt wiele ma współczucia dla swych prześladowanych ojców, mężów i braci, aby ich ciężkie zadanie wszczynaniem antagonizmów utrudniać. Zresztą w łonie naszego narodu „panowie stworzenia“ bynajmniej zazdrości budzić nie mogą.

Wspólni wrogowie zabrali im tyle praw i przywilejów, że nawet w razie ustępstw, ze swej strony nie mieliby się znów tak dalece czem dzielić z kobietami. Jedna z nich trafnie to położenie określiła: „panuje u nas zupełne z mężczyznami równouprawnienie; ani my, ani oni nie mają praw żadnych“. — Patryotyzm tkwi tak głęboko w sercu wszystkich nieomal Polek, że feminizm, jako przedmiot zagranicznego importu, noszący wskutek tego czysto kosmopolityczny stempel przez to samo już na większą ilość adeptek liczyć nie może. — W społeczeństwach wolnych, w których mężczyźni istotnie z wszelkich prawnych swobód korzystają, a nieraz zazdrośnie do nich kobietom przystępu bronią, powstanie tego kierunku zrozumieć i do pewnego stopnia usprawiedliwić można. Antagonizm dwóch płci zaostrza się naturalnie często wskutek postępowania mężczyzn, którzy niekiedy w niezbyt szlachetny sposób przywilejów swych bronią. — Szykanowanie studentek na uniwersytecie paryzkim było dość ogólnie znanym i głośnym faktem dowodzącym, że skargi płci słabej na silną słuszną czasem miewają podstawę. — W innych krajach wśród różnych okoliczności powtarza się to samo, a kto bliżej pozna trudności, z któremi walczą kobiety wchodząc na drogę samodzielnej pracy w kierunku nowym i tradycyą nie uświęconym, ten i dla najzapalczywszych feministek na potępienie się nie zdobędzie.

Aby wśród ciągłych przeszkód, trudności i szykan zachować zawsze równowagę umysłu, zimną krew i zdrowy rozsądek, na to potrzeba bardzo wytrawnych i silnych charakterów i umysłów, a te w każdem społeczeństwie do wyjątków się zaliczają. Nie stojimy tu bynajmniej po stronie feministek; co innego uniewinniać, a co innego pochwalać. — Wojna z mężczyznami, jątrzenie jednej połowy ludzkości przeciw drugiej nie pomagają do osiągnięcia żadnego pomyślnego rezultatu. — Nie posuwają też bardzo sprawy emancypacyi długie, szumne prelekcye na temat niewoli kobiet i despotyzmu męzkiego głoszone. — Słowo jest dość ważnym w społeczeństwie działaczem, — czyn jednak znacznie ważniejszym, — a co do słów to to jeszcze nadmienić należy, że nic tak nie zmniejsza ich doniosłości i wpływu, jak nadmierna ilość i częste powtarzanie. — Sprawę emancypacyi stokroć więcej posuwa naprzód każda kobieta, która się pracy samodzielnej i rozumnej wytrwale oddaje, każda, która z przysługujących sobie praw umiejętnie korzysta i obowiązki swe obywatelskie i społeczne zaszczytnie spełnia, niż tuzin krzykaczek rozprawiających o tem, co chciałyby zrobić, gdyby im dozwolono, a nie robiących tego, czego im nikt nie broni. — Pier-

---

i ostatnim rzędzie wskazałem na owo uczucie przynależności do państwa tracącego bezustannie zewnętrzną potęgę — na uczucie, że w takich stosunkach żyjemy, w których zmysł prawa a z nim równocześnie miłość wolności tępieją.

Przyczyna, dla której wolnomyślny związek studencki cenię i szanuję wysoko, tkwi w tem, że młody ten związek w ciężkich i przygnębiających czasach był energicznym protestem przeciw upadkowi, ogniskiem entuzyazmu i wiary. Związek wolnomyślny wiódł życie towarzyskie, któremu ducha nie brakło, ale zasłużył się mianowicie przez instytucye swoje. Jeżeli cudzoziemcom powiedzieć mamy, co w duńskiej teraźniejszości godnem jest uwagi, to przedewszystkiem trzy rzeczy, jako oryginalnie narodowe wymienić należy: uniwersytety ludowe, cenne dzieło Grundtviga i Grundtvigianów, — pomoc prawnicą i szkoły robotnicze, dzieła wolnomyślnego związku studenckiego. Tu odegraliśmy rolę pionierów, tu mała Dania zaświeciła Europie przykładem.

W przygnębionem, niepewnem, sceptycznem stuleciu, w którem mnóstwo lękających się światła żywiołów, mnóstwo starego obskurantyzmu znowu na jaw występuje i głowę podnosi, opromienił wolnomyślny związek studencki pewnym blaskiem imię duńskiej ojczyzny, chociaż wiek jego jeszcze młody i liczba członków niewielka.

Północne zjazdy studenckie ustały. Zachwiało się dominujące stanowisko, zajmowane w innych krajach oddawna przez studentów. Studenci obcych narodów abdykowali coraz wyraźniej, im więcej postępował nowy, inteligentny stan — robotnicy. Kwiat duńskich studentów jednak nie abdykował i postępującym robotnikom miejsca nie ustąpił. Zrozumieli oni, że są naturalnymi przyjaciółmi i wodzami tego stanu. Każdy nowy stan potrzebuje wodzów i kierowników z tego stanu, którego miejsce chce zająć. Tak w rewolucyi francuzkiej przewodniczyli mieszczaństwu wodzowie z szlacheckiego stanu. Duńscy studenci czuli się powołani oświecać bezinteresownie lud prosty i bronić go przed krzywdą.

Związek zgromadził się dzisiaj po raz pierwszy w nowym, większym i lepszym przybytku. Niechaj w nim tak się rozwija jak w dawnym. Niechaj to światło ujrzy wiele pięknych i nowych idei, niechaj zrodzi się wiele czynów pożytecznych ku chlubie Danii.

KONIEC.

OSTATNI SEN.

Zaśpiewał słowik w wieczornej ciszy
I pachną kwiaty —
Gdzież serce znajdę piękne jak moje
Wieszczu skrzydlaty!

Heine.

Stał na wysokiej górze — u stóp jego rozbijały się bałwany morskie z szumem tęsknym i dzikim zarazem. I zdawało mu się, że fale morskie, przybywające ze stron dalekich, zmęczone podróżą i pianą okryte, przynoszą ze sobą wieści tajemnicze i szepcą je trawom i drzewom nadbrzeżnym — te trzęsą ze zdziwienia głowami i podają je dalej szmerem urywanym aż do jego ucha. Pod wpływem tych szeptów i gwarów obudziły się w nim wspomnienia lat dziecinnych i rzucały kolejno na płowe tło ruchomych fal morskich obrazy życia ubiegłego, pełnego cierpień i zawodów. I raz jeszcze przechodził w duszy przebyte dawno męki, cieszył się nadzieją i darł się radośnie do świata i ludzi, aby niezrozumiany i odepchnięty na nowo z bólem zamykać się w sobie; raz jeszcze witał wspomnieniem głębokiego

wsza kobieta, która przełamała zapory zwyczaju i przesądu i poświęciła się uniwersyteckim studyom — więcej uczyniła dla sprawy wyższego wykształcenia kobiet, — niż wszystkie te, które w teoryi dowodziły i dowodzą jego potrzeby. Aby szersze zdobyć prawa, należy przedewszystkiem dowieść, że się chce i umie z nich korzystać, a wreszcie, uwzględniwszy egoizm, jako główny motor ludzkich czynów, przekonywać mężczyzn nie o tem, że powinni kobietom przyznać większe prawa, lecz o tem, że tego we własnym interesie potrzebują. — Dla tego też zasklepianie się w ciasnym zakresie „kwestyokobiecomanii“ szkodzi raczej sprawie niż pomaga. Im więcej kobiety odrębność swych interesów zaznaczać będą — tym mniej spodziewać się mogą uwzględnienia przeciwnej strony — uwzględnienia, bez którego jednak o zwycięztwie marzyć nie można, póki brzydka połowa ludzkości ster jej spraw dzierży wyłącznie. — Pozyskać je mogą tylko przez solidaryzowanie się z potrzebami i dążnościami całego społeczeństwa, służenie w miarę możności wierne i wytrwałe i wytwarzanie wśród swego grona jaknajwiększej ilości cennych sił, które chcąc wyzyskać jaknajkorzystniej oswobodzić będzie trzeba od więzów, które ich rozwój i działalność krępują.

J. Moszczeńska.

ZE ŚLĄZKA POLSKIEGO.

Do „Gazety Opolskiej“ donoszą z Zaborza: „Socyaliści bardzo dużo czytelników od naszych gazet odwiedli: za to dostaną gazetę socyalistyczną t. j., ci którzy się wpisali do związku socyalistów, a jest ich już przeszło 2000 wpisanych. Robią oni 2 razy dziennie zgromadzenie, rano dla tych robotników, którzy w nocy pracowali, wieczorem dla tych, którzy we dnie pracowali. Na każde zebranie jest wyznaczone wstępne na pokrycie kosztów. Sale są przepełnione, nadzieje wielkie; na 1 maja przyszłego roku będą czerwoną chorągiew poświęcali.“

„Gazeta Opolska“ dodaje, że z jednej strony księża wynarodowieni żądający dla swoich zasad ślepego posłuszeństwa i obrażający w brutalny sposób uczucia narodowościowe budzącej się ludności polskiej, a z drugiej strony niejeden członek tak zwanych warstw wyższych, używający praw mu przysługujących na cele germanizacyjne, głównie się przyczynili do wywołania ruchu socyalistycznego na Ślązku!

Wywody te możnaby jeszcze uzupełnić przypomnieniem niedołęstwa w prowadzeniu spraw polskich, a uznaniem sprężystości prowodyrów socyalistycznych.

Jak niegdyś reformacya działała na polu religijnem pobudzająco i oczyszczająco, tak działa obecnie socyalizm na narodowość i zgniłe stósunki ekonomiczne. Nie wynika ztąd przyznawanie kalwinizmowi, czy luteranizmowi wyższości nad katolicyzmem, podobnie jak nie można przyznać wyższości międzynarodowej idei socyalistycznej nad postępowem pojmowaniem ekonomii społecznej w ramach narodowości.

Socyalizm z wiekowej stęchlizny ekonomiczno-społecznych stosunków wylądz się musiał, by spełnić misyą puryfikacyjną, rozbudzić śpiących, i poruszyć to martwe morze polskości na Ślązku.

Zapobiegliwość socyalistyczna mogłaby niejednemu być naśladowania godnem ostrzeżeniem. Zasady nasze kryją się po kątach i na palcach stąpamy, by wrogów nie razić, a bardzo mało pomiędzy nami takich, którzyby mieli odwagę ponieść męczeństwo za prawdę pokrzywdzoną w narodowości naszej.

Wstecznicy na Ślązku obnoszą zwycięstwo wyborcze w Prudniku, jako dowód, że i bez komitetów zwyciężać można! Po towarzystwach ustawami powykluczano dysputy nad sprawami politycznemi, by dobrze u policyi się zapisać, policya ściga nas wszędzie na równi ze socyalistami, z tą chyba różnicą, że socyaliści nie związawszy sobie ust dobrowolnie, głośno mogą krzyczeć na dziejące się bezprawnia i gwałty.

Dawniej jedyny redaktor „Gaz. Opol.“ miał odwagę i dość czasu, by raz po raz wyjechać z wykładem po za Opole i żywem słowem krzewić ewangelią polską. Obecnie brak czasu nie pozwala „Gaz. Opol.“ jak w odpowiedzi na korespondencyą ze Ślązka w nr. 14 Przeglądu się tłumaczy, na zajmowanie się żywotniejszemi sprawami jak n. p. komitetem wyborczym, nie dziwić się przeto, że i dawniejsze wykłady po towarzystwach prawie zupełnie ustały. Lecz, czy na prawdę żadnej już rady nie ma na brak czasu? Jeżeli żniwo obfite, czy wtenczas gospodarz połowę plonu nie zechce sprzątnąć? O nie, lecz idzie on wtenczas do sąsiada i prosi o pomoc w czasie żniwa, a sam niedośpiąc pracuje. U nas żniwiarzy dzięki Bogu nie brak, a kęs chleba za pomoc znajść się dla nich musi, choćby przyszło część zbioru już naprzód zastawić. Jeżeli starczyło na założenie pisma, to i na drugiego pracownika starczy, byle się zakrzątnąć. Tu trzeba i pukać i szukać, a i prosić nie ubliży. Możeby wtenczas starczyło czasu na rzetelne informowanie pism pozamiejscowych o stósunkach Ślązkich, co zdaniem Gaz. Op. dotąd jakoś niezupełnie się dzieje.

Przy końcu dodać nie zawadzi, że z formy w jakiej się wyrażano w nr. 14 „Przeglądu“ o „braku wiwatów“ z okazyi wyborów opolskich, odgadnąć nie trudno, że bynajmniej nie zależało na chełpliwem wykrzykiwaniu. lecz na tych wiwatach, któremi się podnosi ducha zdumionych swem własnem zwycięstwem wyborców, czyli innemi słowy na wyzyskaniu zwycięstwa. Jeżeli trzeba komuś słuszność przyznać tak jak to Gazeta czyni względem korespondencyi z nr. 14. „Przeglądu“ to już przyznać całkowicie, a nie zacierać wrażenia nicowaniem małostek po to tylko, by udowodnić, że ratusz poznański co prawda stoi na środku starego rynku, lecz jeszcze niezupełnie w samiuteńkim pośrodku, jeżeli ktoś cyrklem się zechce przekonać.

Chm.

Z Wörishofen.*)

„To się musi raz skończyć“ — mówił do mnie parę dni temu pewien kuracyusz, gdyśmy szli boso do rzeki na Wassersgehen. — Jak tylko przyjadę, panie do Stanisławowa rozpiszę się porządnie w gazecie, co warte Wörishofen ze swoim Kneippem“...

Tu syknął i schwycił się za nogę, a gdy wydłubywał z pięty kamyk, jam sobie myślał. patrząc z szacunkiem na towarzysza: co też ja bym napisał o Kneippie, gdybym miał takie stosunki z gazetami? W tej krótkiej przerwie, jaką spowodował w rozmowie powyższy wypadek zdążyłem postanowić sobie, że gdyby mi wypadło informować publiczność o Kneippie, anibym nie zachwalał jego metody, ani ganił, żeby nie przyczyniać się do powiększenia chaosu zdań sprzecznych, o Kneippie u nas wygłaszanych. Towarzysz mój np. bawi tutaj już trzy tygodnie i dotąd nie wyleczył się jeszcze z neurastenii, którą w sobie całe życie pracowicie wytwarzał: żona jego skaleczyła się nadomiar w nogę i „boli ją za dotknięciem“... Mnie przeciwnie polepszyło się: czegóż mam wyrzekać? Chwalić znów — niebezpiecznie: mogą mi zrobić przykrość, pomawiając mnie o zacofanie, dzięki lekarzom bowiem stało się ogólnie wiadomem, że metoda Kneippa nie jest ściśle naukową — pachnie owczarnią. Kneipp na to powiada medycynie w jednej ze swych książek: „to, co człowiekowi dopomaga, co go uzdrawia, to jest dlań dobrem. Skoro go leczą ściśle według przepisu i doprowadzą do zguby, to go wcale nie pocie-

*) Zamieszczając korespondencyą powyższą, przeczuwamy, że znajdzie ona licznych przeciwników wśród lekarzy naszych. Łamy Przeglądu otwieramy chętnie dla polemiki. (Przyp. Red.)

---

smutku ciosy zadane przez tych, których kochać pragnął. Ale dziś widział jak na dłoni nicość tych ludzi i próżność tych cierpień i odcień gorzkiej ironii odbił się na jego twarzy.

Dzisiaj zmieniły się role.

Obce mu były ich dążności i cierpienia: skarżącym się na zawody życiowe pokazywał zimne obojętnością oblicze. Ich cierpienia — to błędy ich własnych kombinacyi liczbowych; — czyż nie dostrzegali tego sami, oni, którzy świat mierzyli rachunkiem?

Pierwszy raz uświadomiła się w nim z nieznaną mu dotąd wyrazistością samotność jego wśród ludzi pełnego świata. Tak — czuł się straszliwie samotnym i uczucie tej samotności nie opuszczało go nigdy, czy to wśród zgiełku i wrzawy świata, czy też, gdy patrzał, jak teraz, sam jeden z wysokości na szerokie morze.

Barwne i zmienne jak fale morskie obrazy zaczęły przesuwać się po jego umyśle i przed oczyma jego duszy stanął gmach piękny jak sny młodości i jak sny owe błyszczący w półmroku światłami różnobarwnemi, marmurem i złotem i girlandami zieleni i kwiatów. Długim bielejącym rzędem biegły strojne filary korynckie, marmurowe wschody prowadziły na wyniosłą platformę, gdzie przy dźwiękach odurzającej melodyi migały półnagie postacie tanecznym wirem porwanych bachantek. A na przodzie, gdzie półokręgiem wygięła się kamienna balustrada, stała postać niewieścia o wielkich czarnych oczach i kruczych splotach, opadających na obnażone ramiona i wyciągała tęskne ręce ku niemu i ogarniała go czarem niepojętym, co płynął z czarnych źrenic i ramion toczonych i powłóczystych fałd śnieżnej szaty i grążył go w jakieś niezmierne morze zapomnienia i rozkoszy. I zbiegały się nad bramą wchodową kolorowe lampy o bladych odcieniach i tworzyły napis: „szczęście“.

Chciał wbiegnąć na marmurowe wschody, ale zasłona z zielonawej mgły przesłoniła mu widok zaczarowanego gmachu i ujrzał przed sobą wyniosłą gotycką świątynię, o której granitowe ściany odbijały się zimne blaski księżyca. Dwa sfinksy kamienne leżały u wejścia, wkoło zaległa uroczysta cmentarna cisza, a nad wysokim łukiem bramy wchodowej widniał z kamienia wykuty napis: „spokój“.

Ocknął się.

Lekki powiew wiatru jął marszczyć powierzchnią fali i pod jego tchnieniem powstawała z toni mgła, zalewała brzegi i kłębiła się między konarami drzew i gęstą siatką gałęzi i liści. Wiatrem niesione opary grążyły zwolna widnokrąg i przepływały jak duchy ciemności pod jego stopami — aż wreszcie z całego szerokiego widoku nie pozostało nic, tylko wierzchołek, na którym stał samotnik i szczyty sąsiednich gór równie wyniosłe. Jak wyspy wśród niezmiernego oceanu błyszczały wśród słońca. — On patrzał długo na ruchome tumany pod swemi stopami, aż zmęczone oczy przymknęły się mimowoli. — Ale i z zamkniętemi oczami widział dokładnie wszystkie otaczające go przedmioty, tylko w jakiemś innem świetle duchowem. Jak źródło niezmiernej wiedzy płonęło złote słońce na niebie, jak przesądy wierzenia i nędze błądzącego ducha ludzkiego kłębiły się mgły i tumany na ziemi. Fale światła ślizgały się błyszczącą pozłotą po ruchomej powierzchni mgieł i oświecały dumne wierzchołki gór — w dolinach ziemskich rozlała się szeroko toń pomroczna.

I ujrzał na dnie owego morza ciemności snujące się postacie ludzkie — jak marne mrówki w gorączkowym ruchu. Zdawało się, że jakaś wspólna myśl zaprząta ich głowy, że ruchy ich i wysilenia łączą się ku wcielaniu wielkich idei. Ale, gdy okiem badawczem począł dokładniej śledzić owe ruchy, prysło złudzenie jak bańka mydlana — interes — złoty cielec, był im gwiazdą przewodnią. Byli tam z nazwiska przedstawiciele różnych gałęzi wiedzy, — w istocie kupcy, sprzedający zdobytą wiedzę za najwyższą możliwie cenę. I prawnicy z rękami w kieszeniach pobrzękiwali złotem, zdobytem na cudzem bezprawiu, myśląc jak je najłatwiej pomnożyć — a lekarze udawali wielkość i zadumę i chodzili z dumnie nad tłum wzniesionemi głowami, jakby nie należeli do

...szy ten fakt, że postępowano z nim bardzo dokładnie według ostatecznych wyników umiejętności".

Wogóle trudno jest ztąd pisać korespondencyą bez ambarasu, gdy się nie jest fachowcem. Człowiek, przejęty kultem dla nauki, nieradby wątpić nawet w medycynę urzędową, ale cóż pocznie, widząc, że w Wörishofen leczy się rocznie 15.000 osób przeważnie ciężko lub nieuleczalnie chorych, przygnanych tu ostatecznością, i że z niej tyle zadowolonych powraca do domu, iż na drugi rok znowu 15.000 chorych przybywa. Jest w tem *coś*, czego subjektywne krytyki korespondentów rozwiązać nie potrafią.

To tylko pewna, że ta niekarność mas względem medycyny urzędowej przybiera rozmiary buntu i jest wielkim dla tej medycyny skandalem.

Rola dobrodusznego proboszcza z Woerishofen, to ciekawe zjawisko w kulturze europejskiej.

Nie widziałem dotąd człowieka, któryby miał taki wpływ na ludzi i był przez nich tak lubiany, jak Kneipp. Nie tylko ufają weń, jako w lekarza, lecz otaczają sympatyą niekłamaną, jako człowieka. Cokolwiekby kto powiedział o jego metodzie i działalności, musi przyznać, że w człowieku tym jest coś niezwykłego, coś niezwykle sympatycznego. Ma lat 74; zdumiewa przytem, rzeźkością ciała i umysłu, pracuje od czwartej rano do wieczora. Odznacza się podobno w służbie kościelnej (ma tytuł prałata); co dzień przepisuje koło 300 recept; nie ma chwili odpoczynku, opanowany przez chorych. Pomimo to codzień punktualnie o 5tej wieczorem staje na estradzie (w dużej szopie), aby tłumom kuracyuszów przez godzinę wykładać zasady hygieny. Żaden prelegent nie pochwali się takiem audytoryum. Wieśniacy i ludzie inteligentni zajmują miejsca w szopie na dwie godziny przed zaczęciem konferencyi; biegną na te pogadanki jak na zabawę; słuchają uważnie (często notują), ogłuszają mówcę oklaskami, lub śmiechem, gdy ten powie co wesołego... Trzeba przyznać, że Kneipp ma niepospolity talent mówienia do mas. Wykład przeplata konceptami rubasznemi, anegdotami w gwarze ludowej i na mównicy ma minę zawsze tak dobroduszną, że z zadowolnieniem i ciekawością patrzy się słuchacz w jego bystre oczy, ocienione niezwykle bujnemi brwiami. Mówi zawsze z pamięci, często improwizuje wykład na rzucone przez kogoś pytanie; rzadko wpada w patos, nie szuka efektów, lecz mimowoli dodaje uroku swej mowie tem, że mówi z wiarą w rzetelność swojej nauki.

O ile wiem, nikt go też o złą wiarę nie posądza. Ci nawet, co nie zostali tutaj uleczeni, widzą w nim człowieka idei, w wysokim stopniu miłującego ludzi.

Znane są koleje jego życia. Syn chłopski, oddany na praktykę do tkacza, pragnie się kształcić. Wziął się do książki w 21 roku życia. W szkołach traci zdrowie. Po długiej chorobie, zaczyna się leczyć wodą. Ludzki organizm tak go interesuje, że odtąd bada go ciągle, a to zamiłowanie wciąga go w praktykę lekarską. Uczył się na to, aby zostać księdzem; na teoryą medycyny nie było już czasu, a do praktyki skłaniała go filantropia.

Być może, otoczenie jego, zwłaszcza lekarze, z jego metody żyjący nadużywają jego imienia w reklamach, lecz on sam — trzeba to uznać — ma w sobie dobrą wolę ewangelicznego Samarytanina. W Wörichshofen widzą ludzie, że on osobiście nie ma ze swojej praktyki najmniejszego zysku materyalnego. W książkach swoich tłomaczy się, dla czego leczy ludzi: „Kto sam biedę i nędzę cierpiał, ten potrafi ocenić biedę i nędzę drugiego... Kto się ma za co leczyć, ten łatwo w krótkim czasie uzdrowienie znajdzie. Takich chorych oddalałem od siebie setkami i tysiącami. Otaczałem zaś współczuciem biednych, opuszczonych i tych, których porzucili lekarze i apteka. Ludzi takich w wielkiej liczbie liczę do moich przyjaciół. Biedaków i tych, którzy nigdzie już nie znajdowali pomocy, nie odepchnąłem nigdy."

Otóż, chcę zwrócić uwagę na to, że nietylko medycyna może mieć coś do powiedzenia o Kneippie: ten, kogo interesują sprawy kultury, powinien znaleźć w Wörishofen odpowiedź na pytania: 1) co Kneippizm, jako medycyna samordna, zawdzięcza wiedzy lekarskiej i zwyczajom ludu i 2) czy działalność Kneippa nie powinna być uważana za wzorową, jako metoda popularyzowania hygieny wśród ludu. Kneipp wziął od ludu wiedzę lekarską i z procentem ludowi ją zwraca.

Jako lekarz wyrósł on z praktyki osobistej, a biorąc rzecz głębiej — z praktyki bawarskiej ludu bawarskiego. Lud wiejski wszędzie do niedawna, (u nas do dziś dnia) leczył się sam, psim instynktem wynajdując leki w otaczającej przyrodzie. Kneipp nie tylko nie „wynalazł wody" i nie stosuje jej wyłącznie w celach leczniczych, lecz wodę wysunął jedynie na pierwszy plan z pomiędzy wielu innych środków hygieny chłopskiej, którą ujął w system i udoskonalił. Kneipizm nie jest nową metodą leczenia, lecz hygieną. Leczenie Kneippa, jak wiadomo, ma na celu unormowanie spraw krwi, a za przedmiot — zawsze cały organizm. Jego środki nie leczą choroby lokalnie, lecz pośrednio przez wzmocnienie całego organizmu. Kneipp pragnie przywrócić organizmowi taką siłę odporności, żeby natura sama zwyciężyła chorobę. Ztąd taka prostota środków i małe ich urozmaicenie przy zastósowaniu do różnorodnych na pozór chorób.

Woda i zioła to cały arsenał Kneippa. Istnieje w polskiem wydaniu „Atlas roślin leczniczych", znajdujących się w aptece Kneippa. Etnograf może tam znaleść niejeden szczegół potwierdzający zgodność praktyki leczniczej naszego ludu z lecznictwem ludu bawarskiego i Kneippa. Dla Kneippa ideałem obsługiwania ciała jest życie chłopa. W jego metodzie leczniczej znajdziemy w intensywnem zastosowaniu wszystko to, co chłopa w codziennem życiu utrzymuje w zdrowiu. Podług niego ludzie byliby zdrowi, gdyby żyli po chłopsku. Były wypadki, że neurastenikom doradzał, zamiast leczenia się w Wörishofen, osiąść na wsi na pięć miesięcy i pracować na roli w warunkach biednego chłopa.

Przypominają się czasy naszego romantyzmu literackiego i niedorzecznego romantyzmu socyologicznego ludowców rosyjskich, gdy kultura ludowa stawała się karmią nowych prądów w literaturze i ruchu społecznym. Korzystanie z tej kultury w sferze hygieny ciała nie ciągnie za sobą skutków zdziczenia, jakich cywilizacya się obawia na widok wszelkich „powrotów do natury" w kulturze duchowej i społecznej.

Do niedawna mniemano u nas, że „i *od Maćka* można się czegoś nauczyć". Ktoś delegowany od Uebermensch'ów napisał rozprawę polemiczną, w której zażądał stanowczo, aby tę romantyczną formułę poprawić na pozytywną „i *na Maćku* można się czegoś nauczyć". Zaiste hygieny można się było nauczyć na Maćku. Od czasu, jak pamięć historyczna sięga, lud wiejski żyje fizycznie w bliskich i zgodnych stosunkach z naturą, przy bardzo małej interwencyi kultury. Patrząc na jego zdrowie i niektóre sposoby ratowania się od chorób, łacno przyjść do wniosku, że całe wieki robiły na Maćku doświadczenie, jak na króliku, jakby na to, abyśmy z jego doświadczenia korzystali. Lekarze rozsądni nigdy nie lekceważyli rezultatów tego rodzaju doświadczenia. W ostatnich czasach w Rosyi, dzięki etnografii, która wydobyła na wierzch wiedzę ludową, zainteresowano się medycyną ludową tak szczerze, że była już mowa o potrzebie wykładów tej medycyny na wydziałach lekarskiej. W praktyce nawet tak par excellence owczarskich, jak zamawianie, zażegnywanie chorób, dopatrzono się pokrewieństwa z nowoczesną suggestyą hypnotyczną.

Kneipp tak daleko nie poszedł i przejął od ludu szacunek dla ziół, wody i dla chłopskiego jedzenia, ubrania. Kąpać się można pomimo spocenia, ciała potem nigdy nie wycierać, a rozgrzewać je ruchem, pracą; mięsa jeść mało, dużo potraw mącznych (kartofli), a chleb tylko razowy: chodzić boso, spać przy otwartem oknie, ubierać się jak najlżej, bieliznę nosić zgrzebną — oto hygiena Kneippowska. Jest w niej wiele dziwactw, nie usprawiedliwionych praktyką ludową i chyba obcych medycynie urzędowej, jak obawa soli, jaj, masła itp. (O śmietanie powiada: gdyby to było co dobrego, osiadałaby na spodzie).

Z góry można powiedzieć, że zmęczony pracą człowiek, lub cherlak miejski, gdy zdejmie ciasne buty, zlewać się będzie zimną wodą, a dużo jeść i chodzić, zachowując wstrzemięźliwośc w napojach, że człowiek w tych warunkach wzmocni się i zahartuje w sposób tani i bez ryzyka. Bez wątpienia, wielu chorych przy odpowiedniem stosowaniu tychże środków, mogło się wyleczyć, zwłaszcza pod okiem Kneippa, posiadającego dużo bystrości i wprawy w odgadywaniu właściwości organizmów. Lecz, mojem zdaniem, rozgłos, jakim Kneipp się cieszy, pochodzi nie ztąd, że cudownie uleczone choroby głoszą jego chwałę po świecie, lecz ztąd, że metoda jego swoją prostotą trafiła do przekonania mas pierwej, niż się one mogły przekonać o jej skuteczności. Można powiedzieć, ujęła ona za serce tych wszystkich, którzy już nie chcą leczyć się u znachorów, a jeszcze nie mogą korzystać z usług lekarzy. Powodzenie, jakie spotkało Kneippa

---

tego świata, z którego nędzy zyski ciągnęli — a myśl inżynierów schylonych nad rysunkami pracowała usilnie, obliczając jakie korzyści przyniesie wprowadzenie w życie tych planów — im samym; rozmaitego zaś gatunku kaznodzieje wzywali lud do zaparcia się siebie i wstrzemięźliwości — sami myśląc o obfitym obiedzie.

A dalej zobaczył ludzi, którzy koła swe zwali wielkim światem, choć w istocie życie ich było jeszcze o wiele marniejsze. Widział ich w pozłocistych karetach, przelatujących z taką szybkością, jakby o losy ludzkości chodziło — jechali na zabawę złożoną z tańca i gry. Widział ich przy zielonych stolikach, jak za stosami złota rozstrajali sobie nerwy chciwością zysku i nadmiernem czuwaniem. Takiej podniety żądne były ich dusze; wszystko, co pierś człowieka ku niebu porywa, zamarło w nich na wieki. I toczyło się ich życie gładko, spokojnie, poprawnie i płytko; nie raziły tam trywialne śmiechy bez powodu, nie wysuwał nikt zbytecznie kanciatej indywidualności, a na różach żywota omijano starannie kolce. Można było żyć pomiędzy nimi przyjemnie i bez wstrząśnień, a jeżeli kto patrząc głębiej, dostrzegł za barwnemi kulisami szpetne plamy i pył brudzący — jego to winą było, że patrzał za głęboko. Czasami tylko pojawiały się wśród nich przemijające oznaki szlachetności i siły — atawistyczne odblaski z tych czasów, gdy byli jeszcze panami świata.

Widział kobiety strojne w jedwabie, atłasy i koronki przy dźwiękach muzyki tanecznem uniesione kołem. Błyszczały alabastrem obnażone ramiona, falowały łabędzie piersi przyspieszonym oddechem, w takt dźwięków pochylały się ich strojne ciała, błyszczące oczy odbijały gwiazdy świateł jarzących — i bezmyślną pustkę ich serc. I czuły martwotę życia, złożonego z tańców i zabaw i nudy bez myśli przewodniej i steru — ale nie miały siły zmienić swych upodobań, przebić wzrokiem duszy wiecznej mgły przesądów i uprzedzeń i wmawiały same w siebie, że są szczęśliwe. Małym był ten „wielki świat" i tumanami mgły jak chroniącym namiotem zasłaniał się przed płonącem w górze słońcem wiedzy — tak chroni się podziemne robactwo w szczelinach jaskini przed światłem dnia. *St.*

(Dokończenie nastąpi.)

w tych sferach, zachęciło innych do wyłamywania się z pod opieki lekarzy, tak, że widzimy teraz w Wörishofen przedstawicieli rozmaitych sfer, aż do arcyksiążąt.

Próżno cywilizacya z medycyną na czele zżyma się na to zjawisko. Kneippa stworzyła potrzeba ludzka; zapełnił on lukę w kulturze, odpowiadającą rozmiarami tej wielkiej masie ludzi cierpiących, którzy dotąd nie mieli możności się leczyć. T. z. miejsca kąpielowe są dostępne tylko dla bogatych. Leczenie się hydropatyą w zakładzie jest dotąd rzeczą tak zbytkową, że nie przestaje być przedmiotem chełpliwości ludzkiej. Pobytem w szpitalu ludzie się nie chwalą, bo do szpitala idzie się nie dla parady. Zakład hydropatyczny jest to szpital, tem bardziej pożądany dla mas, że woda jest tania i skuteczna, a ludzie pracujący potrzebują pomocy najwięcej. Większa część osób, leczących się w Wörishofen, nie byłaby w stanie udać się do jakiegokolwiek innego zakładu hydropatycznego dla braku pieniędzy na doktorów, apteki, wina mocne, befsztyki itd. Połowa nie mogłaby się pokazać w swych biednych strojach w eleganckim zakładzie; wystraszyliby pięknie ubranych filistrów, dla których zakłady istnieją. Lekarze za wiele krzyczą na konkurencyą Kneippa! Wielkość Kneippa mierzy się radością ludzi, odpychanych przez medycynę, którzy od niego dopiero dowiedzieli się, że mogą mieć zdrowie, nie rujnując się materyalnie, a nawet za darmo.

Kult dla Kneippa, jeżeli się pod wrażeniem tego odkrycia wytworzył, wzięty został w innych sferach za dowód jego cudotwórczości. Ze wszystkich krańców świata ciągną ludzie do Wörishofen i leczą się z rozmaitym skutkiem. Po śmierci Kneippa zapewne kult jego metody osłabnie; Wörishofen zostanie zapomniane. Pozostanie jednak dowód, że wodolecznictwo można spopularyzować, że z hygieną można trafić do mas, gdy się dla niej znajdzie odpowiednia drogę i odpowiednie szaty. Kneipp nie uosobił może w sobie naukowości medycyny, lecz na pewno uosobił tendencyą kulturną medycyny.

Niechże medycyna rozszarpie Kneippa krytyką na kawałki, ale niech próbuje go zastąpić. Kilku lekarzy przejęło jego metodę i zjawiły się tu i owdzie zakłady Kneippowskie. Są to jednak zakłady dawnego typu arystokratycznego z modną nazwą i zmodyfikowanym sposobem polewania. Medycyna ma jeszcze do pożyczenia od Kneippa jedną najważniejszą rzecz — poczucie humanitarne, które go skłania do ciągłego propagowania swej wiedzy pismem i żywem słowem i do obierania tak prostych środków uzdrawiania, aby one mogły być zastosowywane przez warstwy w społeczeństwie upośledzone.

Z. Wasilewski.

LISTY Z WYSTAWY.

V.

Niech mi wolno będzie wytłumaczyć się z przerwy dwutygodniowej między dwoma listami: jest ona po prostu wynikiem pewnego oszołomienia, zamętu w jaki sprawozdawca Wasz popadł w ubiegłych tygodniach. Można powiedzieć, że każdy zjazd z pewnego punktu widzenia jest rodzajem zadania o kwadraturze koła, gdyż w chaosie i niekończącej się krętaninie dyskusyi każe szukać skończonych wniosków i wskazówek dla danej sprawy. — Cóż dopiero szereg, a raczej kupa zjazdów rzuconych jeden na drugi?

W ubiegłych dniach Lwów naprawdę kipiał już nie przyjezdnymi, ale wprost zjazdami — było ich naraz kilka: pedagogiczny, sokoli, literacki i wreszcie przyrodniczy. Jeżeli teraz wziąść pod uwagę, że dwa z nich (a właściwie trzy pierwsze) słusznie interesują cały ogół publiczności, a specyalnie literacki łączył się nawet przez treść swoją ze zjazdem pedagogicznym — to zrozumiemy jakiem było położenie sprawozdawcy, który chciał wam dać nie reporterskie fragmenty, lecz jednolity obraz tego było.

Niestety — wyrzec się musimy sprawozdania o wszystkich zjazdach naraz. Zdaje się, że nie pobłądzę wiele, twierdząc, iż głównym dla miejscowej i przyjezdnej inteligencyi ogniskiem był zjazd literacki. Tu się połączyli wszyscy bez różnicy fachów i płci. Sfery nauczycielskie i kobiety ze zjazdu pedagogicznego przeszły bezpośrednio na oświatową sekcyę literackiego; na innych znów sekcyach same zagadnienia i liczniejsza obecnoćć posłów krajowych nadała zjazdowi hasło ogólne i charakterystyczne znaczenie.

Począwszy od pierwszego zgromadzenia uczestników zjazdu w lokalu koła artystyczno-literackiego aż do bankietu na wystawie fala niezmiernie ożywionego nastroju zdawała się coraz wzrastać, podnosząc do wielkiej potęgi atmosferę szczerości i powagi, które stanowiły grunt powszechnego porozumienia.

Obecność Vrchlickiego, Jelinka, Asnyka, Jeża i wielu posłów wybitnych podniecała tem bardziej rzesze łaknące chleba duchowego. Na wstępie zaraz przemówienie Rodocia, Vrchlickiego, a zwłaszcza uroczyste wręczenie albumu na pamiątkę pracy 25 letniej Piotrowi Chmielowskiemu zelektryzowało wszystkich. Oficyalne otwarcie zjazdu znalazło lody przełamane.

Jak już nadmieniłem zjazd podzielił się na cztery sekcye: dziennikarską, oświatową, literacką i językową. W pierwszej na porządek dzienny wszedł od razu referat ks. Badeniego o informowaniu prasy zagranicznej w sprawach narodowych we wszystkich trzech zaborach. Obrady, które uznano za poufne, toczyły się wśród niezmiernego ożywienia zebranych. Głos zabierali kolejno przedstawiciele wszystkich dzielnic polskich; z Galicyi zaś specyalnie posłowie do sejmu i rady państwa oraz najwpływowsi przedstawiciele opinii publicznej.

Po całodziennych obradach sekcya prócz wielu ciekawych (dyskrecyonalnych) wniosków uchwaliła:

1. Uznać sprawę informowania prasy zagranicznej o stosunkach polskich za potrzebę narodową pierwszorzędnej wagi. Za wnioskiem szedł cały szereg postanowień praktycznych.

2. Uznać nagłą potrzebę Towarzystwa wzajemnej pomocy literatów polskich.

3. Wreszcie sekcya uważa za konieczne odbywanie zjazdów dziennikarsko-literackich w pewnych stałych terminach — najbliższy odbyć się ma najdalej za trzy lata.

Niemałe zainteresowanie się ogółu budziły też obrady sekcyi oświatowej. Niestety — niepodobieństwem było uczestniczyć w kilku sekcyach, ponieważ każda pochłaniała całkowicie czas uczestnikom na sprawy własne. Na sekcyi oświatowej ludowcy galicyjscy z Wysłouchem, Stapińskim, Iwanem Franko, Stojałowskim i t. d. na czele wystąpili w imię większych swobód agitacyi i oświecania ludu. Wyrazem ich pragnień były między innemi takie wnioski jak: że „Literatura ludowa powinna odpowiadać stanowi nauki współczesnej bez jej obcinania i fałszowania". Charakterystycznym był wniosek który opiewał, że walka poglądów, na oświatę ludową powinna odbywać się li tylko na gruncie starcia przekonań i bez uciekania się do środków postronnych (czytaj represyi)". Wniosek powyższy większości nie pozyskał...

Wszyscy zaś zgromadzeni jednomyślnie przyjęli, że „pierwszym obowiązkiem piśmiennictwa ludowego jest dążyć do wyrobienia u ludu poczucia narodowego, tudzież zrozumienia własnych praw i obowiązków".

Z entuzyazmem również przyjęto oświadczenie, że sprawę ludności polskiej na Śląsku uważać należy za sprawę całego narodu. Świetnem stwierdzeniem tego wniosku był dar 10,000 złr. na popieranie oświaty szląskiej, którą Dr. Hassewicz z Warszawy złożył przez posła Męcińskiego na zgromadzeniu plenarnem.

Niepodobna tu streszczać uchwał dwóch sekcyi pozostałych: literackiej i językowej — znajdzie czytelnik wszystkie ciekawe referaty zjazdu w wydawnictwie koła literackiego lwowskiego, do którego też go odsyłam.

* * *

Można powiedzieć, że zjazd literacki nastręczał prawdziwą sposobność poznania sił inteligencyi galicyjskiej — po części zaś polskiej. Brakło na zjeździe kilkunastu gwiazd pierwszej i drugiej wielkości (Sienkiewicz, Orzeszkowa i Kaczkowski i t. d.) — nic jednak nie stracił na tem ton obrad. Niezmiernie doniosłe kwestye poruszane zwłaszcza na sekcyach dziennikarskiej i oświatowej były niejako sondami dla zgruntowania postępów, jakie wolna myśl i uczucie narodowe zrobiły w Galicyi i w całej Polsce. Sądzę, że niezatarte wspomnienie na obecnych, zwłaszcza tych, którzy przybyli z innych dzielnic, zrobiły wymowne postacie Stojałowskiego, Badeniego, Franki i t. d. i t. d. Każdy z nich po za indywidualną grą rysów reprezentował jakąś kategoryę działaczów krajowych, pewną sferę opinii publicznej. Starcia tych opinii w obradach oświatowych lub powszechną ich zgodność w sekcyi dziennikarskiej, kiedy chodziło o kwestyę informacyi z trzech zaborów, miarodajnem jest dla głównych odłamów ogółu naszej inteligencyi. Ciekawszą jest rzeczą że duch wszystkich przemówień nie obracał się, jedynie koło literackich zagadnień. Z tego punktu widzenia sądzę, że jednym z charakterystycznych epizodów było przemówienie posła Szczepanowskiego. Ale zawierało to przemówienie desiderata, które cały naród mógłby stawiać, gdyby przemówił, literaturze ojczystej — zawierało myśl potrzeby organicznego nie mechanicznego związku z ruchem idei na Zachodzie, myśl unarodowienia, a więc zindywidualizowaniu w duchu ojczystym, pierwiastków wszechludzkiej myśli. Podobnie nie literackie lecz raczej filozoficzne wskazówki zawierało przemówienie p. Dziedziszyckiego o zadaniach dziennikarstwa. Do pojedyńczych punktów tych i innych przemówień będziemy mieli sposobność powrócić nieraz, bo nosiły one cechy zagadnień ogólno-narodowych, stałych.

* * *

Kto zna psychologią zgromadzeń i zjazdów ten wie, że po za ich programem oficyalnym istnieje pewien program improwizowany, który im ton nadaje, uzupełnia je i że tak powiem zapładnia. Ów program improwizowany wykonywają uczestnicy zgromadzenia na wieczornych spotkaniach, na luźnych pogawędkach, gdzie myśl szczera tryska jaśniej i serdeczniej pod wpływem sympatyi pewnych grup, zbratanych wspólnością dążeń. Że tak być musiało na wszystkich zjazdach lwowskich — to bardziej niż zrozumiałe. Mało jednak kiedy nadawała się lepsza po temu sposobność. Na zjeździe literackim takiem nieoficyalnem ogniskiem, skupiającem koło siebie wszystkich był T. T. Jeż.

To, czego nie wypowiedziały na sekcyach i zebraniach plenarnych usta regulaminem skrępowane — to popłynęło gorącą kaskadą wywnętrznień w ruskim, czeskim, litewskim i polskim języku na bankiecie, ku uczczeniu seniora naszych prac literackich i narodowych. Prościej i głębiej, jak przemawiał Iwan Franko, Jelinek, delegat Polaków Bukowińskich, Rodoć i wielu innych — mówić chyba nie można. I był ten bankiet młodych sił, chylących sztandary przed osiwiałą głową przodownika, czemś, co jak aureola otoczy wspomnienia zjazdu ubiegłego.

Antoni Potocki.

KRONIKA KRAKOWSA.

29 Sierpnia.

(Kto inny oskarżony, a kto inny potępiony. Doroczna wystawa szkoły sztuk pięknych; pomnik dla Kardynała Dunajewkiego. Nowa ozdoba Kościoła marjackiego. Hr. Milewski. Wrażenia ze zjazdu literatów i dziennikarzy.)

Przed zwykłym trybunałem odbyła się przed kilku dniami rozprawa, której przebieg z cieka-

wością śledzili mieszkańcy Krakowa. Na ławie oskarżonych siedziało kilka osób całkiem prawie nieznanych i zupełnie nieinteresujących; nie było w procesie senzacyjnych szczegółów, nie było pola do popisu, ani dla oskarżonych, ani dla obrońców. A jednak o niczem innem nie mówiono w Krakowie, jak tylko o tej rozprawie, bo na ławie oskarżonych nie fizycznie, ale moralnie zasiadał Magistrat krakowski.

Przed rokiem zawalił się w Krakowie nowo budowany dom przy ulicy Długiej; z pod gruzów wyciągnięto kilku robotników poranionych i dwa trupy. Wypadek ten wywołał wielkie oburzenie, gdyż przyczyną jego były: zły materyał użyty do budowy, ominięcie przepisów ustawy budowlanej, odstąpienie od planów przez Magistrat zatwierdzonych, niesumienne wykonywanie robót, brak dozoru przez budowniczego, a przedewszystkiem brak kontroli ze strony władz magistrackich. Rozprawa wykazała, że w Krakowie wolno budować kamienice według własnej woli ich właścicieli bez poszanowania jakichkolwiekbądź przepisów; władza budownicza przyjąwszy raz projekty, nie wtrąca się już wcale do budowy, patrzy obojętnie na jakość materjałów i roboty; obojętnem jej, czy właściciel i kierujący budową trzymają się zatwierdzonych planów. W wypadku, o którym mowa, wszystko od początku do końca było zrobione źle, niezgodnie z planami. Inaczej wykonano piwnice, aniżeli zaznaczone było w projekcie; zmniejszono dowolnie grubość murów o jednę piątą, a nawet o jednę czwartą; wykonano szufladę kominową i framugę nieuwidocznione w planach; cegłę dawano najgorszą; prowadzono roboty z rażącą nieznajomością zasad technicznych sztuki murarskiej. Budowniczy podpisał się na planie i na tem zakończył swoje czynności, bo nie doglądał budowy. Wystąpiło na jaw, że często domy są już pod dachem, a jeszcze nie ma zgłoszonego kierownika w biurze budownictwa.

Dwaj znawcy ostro wyrażali się o budowniczych władzach magistrackich. Wszyscy oskarżeni zostali skazani na parotygodniowy areszt lub kilkomiesięczne więzienie. Wina ich była niewątpliwą, ale łagodziło ją przeświadczenie, że nie oni są głównymi winowajcami, bo do szanowania ustaw i przepisów nie było nigdy zachęty i bodźca ze strony tych, co ich z urzędu strzedz powinni.

Doroczna wystawa prac uczniów szkoły sztuk pięknych ma zawsze tę stronę ujemną, iż odbywa się w czasie, w którym opuszczają Kraków prawie wszyscy interesujący się rozwojem naszej sztuki.

Szkoła ta i tak już oddawna nie ma szczęścia, od dawna straciła ten urok nowości, który jej losami zajmować się kazał, pocóż więc jej jedyne zetknięcie się z szerszą publicznością, wyznaczać na czas tak nieodpowiedni jak koniec lipca? A szkoda, bo choć zmarły wielki mistrz naszej sztuki nie okazał się dobrym dyrektorem, choć stanowiska i znaczenia szkoły nie podniósł, choć nie stała się ona ogniskiem sztuki, jak się spodziewać należało, choć coraz częściej większe talenty ją omijały i kształciły się zagranicą, to przecież szkoła zawsze uczyła i może pochlubić się swoimi młodymi uczniami.

A więc należy korzystać ze sposobności przyjrzenia się jej rezultatom i żałować, że ta sposobność nadarza się zaledwie garstce miłośników sztuki, którym wyjątkowe tylko okoliczności każą przez lato przebywać w Krakowie. W r. b. najsmutniej wyglądała tak zwana Majsterszula. Kto sobie przypomni, że spotykano w niej dawniej prace głośnych dziś artystów i to prace liczne, że corocznie na jej dział składało się dawniej kilka nazwisk i kilkanaście obrazów, ten ze smutkiem zobaczył w dziale jej tylko jeden obraz rodzajowy i jeden portret, będące utworami jednego tylko młodego p. Sylwerjnsza Saskiego; oba te utwory chlubnie zresztą świadczą o talencie i technice młodego malarza, który też otrzymał złoty medal. Na I-szym oddziale prof. Cynka (rysunki z antyków) zdobyli sobie nagrody p. p. S. Gottlieb i R. Radwański. II-gi oddział prof. Jabłońskiego (również antyki, ale większe i trudniejsze) był bardzo nieliczny. Odznaczeni na nim zostali: p. p. Grajnert i Jan Bukowki. III-ci kurs prowadzony przez prof. Łuszczkiewicza był i obfity i urozmaicony. Dominowały na nim prace p. Christa Kutewa, Bułgara, który też za głowy i akty z natury, otrzymał medal srebrny. Medale brązowe otrzymali na tym kursie p. p. Gawlikowki i S. Kamocki; podobały się również prace A. Jarzyckiego, F. Badowskiego i Gryglewskiego, syna przed kilkunastu laty zmarłego jednego z naszych najznakomitszych perspektywistów

Pierwszych początków malarstwa udziela na V-tym oddziale profesorh Unierzyski, autor „Golgoty“, zięć Matejki.

Praca jego nauczycielska znajduje u znawców wysokie uznanie, słusznie też nagrodzono srebrnemi medalami uczniów jego p. Weissa i B. Czapkiewicza, a bronzowemi p. Karpińskiego. Na dwóch najwyższych kursach, na V i VItym prowadzonych pod kierunkiem tak znakomitego i popularnego niegdyś prof. Loefflera odznaczyli się i nagrodzeni zostali medalami p. Okoń, L. Kowalski i S. Jarocki. Skromny oddział rzeźby prowadzi po ociemniałym prof. Gadomskim zdolny rzeźbiarz Daun; umiał on uczniów swoich, zwłaszcza p. p. Bąkowskiego i Budzińskiego (medale bronzowe) zapoznać z tajemnicami techniki rzeźbiarskiej; szkoda tylko, że brak fantazyi, cechujący nauczyciela, udzielił się i jego uczniom.

A dla rzeźbiarzy otwiera się znowu nie wielkie wprawdzie, ale wdzięczne pole do popisu: przy poświęceniu kościoła XX. Misjonarzy w Nowej wsi (przedmieście Krakowa, łączące się z Łobzowem) utworzył się komitet postawienia przed tą nową świątynią pomnika dla ś. p. kardynała Dunajewskiego. Nie należy łudzić się, aby zebrano fundusze dostateczne do stworzenia dzieła monumentalnego, ale w każdym razie składki dojdą zapewne do tej wysokości, iż stanąć może pomnik skromny, którego artystyczna wartość zależeć będzie od wyboru odpowiedniego rzeźbiarza. O to więc tylko idzie, aby uczynić wybór dobry, o który dalibóg nie byłoby trudno, gdyby zdecydowano się porzucić drogę względzików i protekcyi. Mamy bowiem w Krakowie rzeźbiarza bardzo zdolnego, który niejednokrotnie już dał dowód, że posiada doskonałą technikę, łatwość kompozycyi i spory zasob polotu. Nie chcę wymieniać nazwiska, aby to nie wyglądało na reklamę. ale kto się zna na sztuce i pięknie, ten wie dobrze kogo mam na myśli.

Kiedy mowa o sztuce, zaznaczyć wypada o nowej ozdobie kościoła Marjackiego. Jest nią okno kolorowe, sprawione kosztem hr. Ignacego Milewskiego w Paryżu wykonane przez Champigneula, podług kartonu p. Tadeusza Dmuchowskiego. Środek jego zajmuje obraz Matki Bozkiéj Ostrobramskiej; na polach górnych widzimy świętych patronów litewskich i herby Ziem pod ich opieką zostających; niżej obrazu M. B. Ostrobramskiej umieszczono herby tych ziem i powiatów, które zamieszkuje rodzina fundatora; u spodu znajduje się herb jego własny, a pod nim drobniejsza legenda objaśniająca, kiedy i gdzie witraże wykonano. Styl okna zgadza się z matejkowską polichromją, a wykonanie jego techniczne jest wzorowe. Podobno zamożniejsze rodziny mają iść za przykładem hr. Milewskiego i zaopatrzyć kościół Marjacki w większą ilość okien kolorowych.

Z obecnym pobytem hr. Milewskiego w Galicyi łączą u nas wysokie nadzieje dla sztuki. Jestto można powiedzieć, jedyny dziś mecenas pomiędzy naszymi jasnymi panami. Czasem który z nich kupi jaki obrazek i stugębna fama dziennikarska głosi po świecie o tym niezwykłym fakcie ofiarności. Hr. Milewski kupował i zamawiał obrazy o czem mało kto wiedział, aż zebrał w Wilnie piękną galeryą, którą świeżo pomnożył nabyciem od hr. Potockich „Kazania Skargi“ Matejki. (Potoccy sprzedają, Milewscy kupują.) Oryginalną ozdobą zbiorów hr. Milewskiego są portrety malarzy przez nich samych wykonywane; ma już takich autoportretów, a właściwie auto-eikonów kilkanaście, pomiędzy któremi największą perłą jest portret własny Matejki. Rozgłaszano przed paru laty, iż hr. Milewski ma zamiar ofiarować swój zbiór jakiejś zagranicznej galeryi. Zaprzeczył on temu stanowczo, a obecnie dowiedziałem się we Lwowie, iż miasto to otrzyma na własność zbiór hr. Milewskiego, który żąda w zamian, aby mu oddano w dożywocie pałac sztuki znajdujący się na Wystawie. Zachwyciła go wspaniała panorama Lwowa, jaka z okien tego pałacu się roztacza, a którą bez żadnej przesady porównać można z panoramą Florencyi, kiedy się patrzy na miasto Danta i Michała Anioła z prześlicznej drogi wijącej się wśród uroczych will rozsianych ponad miastem. Do pałacu tego chce sprowadzić hr. M. swoją galeryą i sam w nim zamieszkać. Zaznaczył on już zresztą swój tegoroczny pobyt licznemi darami na cele publiczne, czem oby dał bodźca naszym galicyjskim panom do zrozumienia obowiązków, wypływających z posiadania fortun magnackich. Aby korespondenta waszego nie posądzono o reklamę, zaznaczam, że nie wiem nawet, jak hr. Milewski wygląda.

We lwowskim zjeździe literatów i dziennikarzy brało udział z Krakowa członków 18tu i prawie wszyscy powrócili z niesmakiem. Nie radzę wam wierzyć w owe szumne pochwały dla zjazdu hojnie rozsypane w szpaltach dzienników lwowskich. Urządzający go dowiedli, że są ludźmi niepraktycznymi i mało mającymi wyobrażenia o formach grzeczności. Nie starano się niczem wyzyskać celu towarzyskiego zjazdu, a to do tego stopnia, że nawet uczestnicy jego nie mieli możności zapoznania się. Bałucki dowcipnie wyraził się, że poznał na zjeździe..... Maciejowskiego Sewera) i Bartoszewicza, z którymi już jubileusz znajomości mógłby obchodzić. Z wyższych względów dano między dygnitarzami zjazdu trzeciorzędne miejsce Teodorowi Tomaszowi Jeżowi, który był przecież najwybitniejszą osobistością literacką na zjeździe. Za to miejscowym wielkościom sporo zostawiono miejsc dygnitarskich, z pominięciem Bałuckiego i Sewera, którzy znowu po Jeżu i Asnyku byli na zjeździe najpoważniejszymi przedstawicielami literatury. Dziennikarzy traktowano.... jako dzieci nieprawego łoża. Bankiet wydany na cześć przybyłych miał pozór na wskroś oficyalny, przytem gospodarze rozebrali pomiędzy siebie role, niezapytawszy nawet gości, czy nie zechcą przemawiać. To też kto się znajdował na bankiecie ten zaledwie mógł się dorozumieć, że jest to zebranie literatów i dziennikarzy polskich. Wnoszono zdrowia: Cesarza, Koła Polskiego, Sejmu, Wielkopolan, Warszawiaków, Ślązka, Czechów, Prezydyum Wystawy, dyrektora Wystawy, a dopiero gdzieś ku końcowi wspomniano o literatach i dziennikarzach. Szczęściem, że Platon Kostecki, wbrew woli Komitetu, wdarł się w szańce toastów i przypomniał zebranym, iż należy wnieść zdrowie Kornela Ujejskiego. Prawda, że uchwalono dużo rezolucyi, ale tylko chyba bardzo naiwny sądzić może, ażeby choć dziesiąta ich część zamienia się w czyny. Nazwał ktoś zjazd cesarsko-królewsko-ciężko-nudno-wystawowym z dodatkiem sosu wzajemnej lwowskiej admiracyi. Nazwie tej nie mogę odmówić słuszności.

Nazajutrz po bankiecie oficyalnym odbył się bankiet nieoficyalny na cześć T. T. Jeża. Była to manifestacya na cześć tendencyjnie postawionego przez Komitet zjazdu na trzecim planie znakomitego pisarza i wielkiego patryoty. Pomimo, iż Komitet ucztę urządzający składał się z samych skrajnych żywiołów i była obawa, aby nie zamieniła się ona w bankiet stronnictwa, chętnie przecież w niej wzięli udział prawie wszyscy przybyli, pomimo, że wielu z nich nie podzielało zasad politycznych i społecznych przez Jeża wygłaszanych. Słusznie podniesiono w szeregu toastów, że lubo Jeż sam walczył jako szermierz stronnictwa, to go zasługi, talent, i czysty patryotyzm postawiły po nad stronnictwami; sprzeczać się z nim, walczyć, można, ale go uczcić, uszanować należy. Trzeba też wyrazić wysokie uznanie urządzającym ucztę, że zrozumieli wyjątkowe stanowisko Jeża i uszanowali różność przekonań współbiesiadników. W przemówieniach nie było najmniejszego dysonansu, podnoszono Jeża tylko jako pisarza i patryotę. Uczta serdecznością swoją

zatarła nieprzyjemne wrażenie oficyalnego bankietu. Nie potrzeba dodawać, iż panowie „oficyalni“ świecili na niej.... nieobecnością*)

K. Bartoszewicz.

*) Końcowe poglądy naszego krakowskiego korespondenta na zjazd literacko-dziennikarski sprzeciwiają się poniekąd zapatrywaniom lwowskiego sprawozdawcy „Przeglądu Pozn.“ Wierni jednak zasadzie: „Audiatur et altera pars“ zapisujemy oba głosy w łamach pisma naszego. Przyp. Red.

Z UPOMINKU.

DOBRA CÓRKA.

...Wszedłem. Ubogie wnętrze pokoju było przybrane świątecznie mnóstwem zieleni i kwiatów. W blaskach świec i dużej lampy, płonącej na środku, lśniały bronzy staroświeckich mebli i złocone ramy portretów rodzinnych. Surowe poważne oblicza naddziadów zdawały się dzisiaj uśmiechać pogodnie. Portrety te i kilka staroświeckich zabytków, to były jedyne pozostałości dawnych, lepszych czasów. Zresztą nie zostało nic... prócz dobrego wspomnienia u ludzi poczciwych...

Głowa domu, podpora rodziny — ojciec — umarł oddawna. Zawikłanym interesom nie mogła podołać wdowa. Klęska spadała po klęsce, aż wreszcie przyszła ostatnia: choroba matki, paraliż, który pozbawił ją władzy, a nawet odjął jej mowę. Na czele domu, na czele licznego rodzeństwa została najstarsza córka — Klara. Była wówczas piękną nad wyraz Wysoka, smukła jej postać miała dziwną powagę. Z jej dużych ciemnych oczu patrzyła rozumna dusza. I była taką istotnie. A prócz rozumu, prócz niezwykłych zdolności i talentu, miała ową poświęceń siłę, która wszelkim opiera się ciosom.

Mogła zostawić za sobą to ubóstwo, przekroczyć próg nędznego dworku i pójść w świat za szczęściem; sposobności nie brakło, czekała ją świetna karyera artystyczna za granicą. Ale potrzeba było odstąpić matkę, opuścić rodzeństwo, które domagało się wychowania, kierunku, opieki...

Klara odrzuciła wszystko, wyrzekła się obcych hołdów i sławy, a została na czele rodziny swej, w ubóstwie; i była odtąd piastunką i nauczycielką tej gromadki, która dziś już dorosła, skupiała się w koło niej, w hołdzie uwielbienia i wdzięczności. Było to bowiem święto Klary, obchód jej imienin.

Wszedłem i spojrzałem na nią. Stała obok matki, spoczywającej nieruchomo w głębi fotela. Na jej czole białem i jak marmur gładkiem snuła się myśl smutna a głęboka. W oczach, zawsze pięknych, lśniła jakby łza — rzewne wspomnienie minionej przeszłości, a usta uśmiech rozchylał; uśmiech rezygnacyi spokojnej, odblask wewnętrznego zadowolenia, że twardy obowiązek spełniony... Postać jej wyniosła, poważna nosiła odważnie brzemię trosk i trudów, które zaledwie gdzieniegdzie nitką srebrną przeplotły jej bujne włosy.

W podziwie patrzyłem na nią. Cała gromadka jej rodzeństwa, wychowanego przez nią, wypielęgnowanego jej słowem żywem, zbliżała się teraz ku niej, przynosząc jej życzenia i wyrazy hołdu. To wszystko, co przynieść mogła. Klara przyjmowałą je serdecznie, z tym zawsze pogodnym na ustach uśmiechem, który zdawał się opromieniać ją całą. Od czasu do czasu zwracała się ku matce chorej, jakby te wszystkie życzenia i słowa wdzięczności odnosiła ku niej i jej oddać chciała.

A biedna matka zdawała się także odzywać w tej chwili. Z trudnością dźwigała głowę i załzawionemi oczyma spoglądała na dobrą córkę. Wyrazy błogosławieństwa wybiegały na jej usta i skrępowane — milkły; drżąca, zniecżulona ręka podnosiła się nieco i niewyraźnie kreśliła krzyż na pochylonem czole Klary.

Uroczysta cisza zaległa. Wszyscy obecni potłumili oddech w piersi. A mnie się zdało, że w tym momencie, na wezwanie tej matki, straszną niemocą dotkniętej, schodził anioł z nieba i przynosił dobrej córce najwyższą pociechę i pokrzepienie; zdało mi się, że słyszę szelest anielskich skrzydeł, które swem orzeźwiającym powiewem trącały struny lutni eolskiej — przynosiły echo rozkosznych pieśni... Zdało mi się, że w tej chwili blaski świec spłynęły w jeden olbrzymi płomień, który to ubogie mieszkanie czynił ogniskiem wszelkich dobrych wierzeń, wszelkich nadziei niezłudnych. wszelkich miłości świętych... Zdało mi się, że z tych ścian ciasnych wypływają strugi ożywczego światła na zewnątrz i rozlewają się daleko.. daleko na pokolenia i czasy odległe.

Złudzenie pierzchło, ale zrozumiałem wówczas zadanie pracy i poświęceń człowieka.

Klara zbliżyła się do mnie i podała mi rękę.

— Dziękuję, żeś przyszedł — przemówiła. — Nie zgadzałeś się nieraz ze mną, a przyszedłeś...

— I wzruszenia stłumić nie mogę... — przemówiłem. Mogłem być innych przekonań, nie zgadzać się czasem na szczegóły, na jakiś kierunek pracy, ale hołd składam poświęceniu, wielkim zdolnościom, zacnemu sercu i myśli głębokiej... Uznaję pracę życia zmudną, ciężką, a wynagrodzoną tak mało...

Klara przerwała mi gestem. Wskazała na matkę, która, widocznie w dniu tym silniejsza, dźwigała ku niej niemocne swe dłonie.

— Oto moja nagroda!... szepnęła odchodząc. Opuszczałem ubogi dworek z bijącem mocno sercem. Na progu obróciłem się jeszcze i w dali, na tle zieleni i kwiatów, w jaskrawych świec blaskach, ujrzałem dwie postacie: schorzałą matkę, patrzącą przed siebie zamglonemi łzawo oczyma, i dobrą córkę, klęczącą przy niej, ze wzrokiem utkwionym w obliczu ukochanej.

Dosłyszałem, jak pochylona ku matce, wymawiała z cicha słowa najszczytniejszej modlitwy:

— Ojcze nasz któryś jest w niebiesiech!

Adam Krechowiecki.

KRONIKA LITERACKA.

— **Aleksander Czechowski**. Samuels von Skrzypna Twardowski „Wojna domowa“. Inaugural-Dissertation zur Erlangung der Doctorwürde von der philosophischen Facultät der Friedrich-Wilhelms Universitat zu Berlin. Posen. Drukarnia „Dziennika Poznańskiego“ 1894.

Pan Aleksander Czechowski nie jest nowicyuszem w szeregach publicystów polskich. W ubiegłym już roku pomieścił w „Ateneum“ i „Myśli“ krakowskiej interesujące artykuły o Mesyaniźmie, a studya te mimo braku wybitniejszej orginalności odsłoniły przed nami sumiennego pracownika i wytrawnego znawcę mesyanistycznego kierunku myśli ludzkiej. Obecnie publikuje p. Czechowski jako doktorską dysertacyę rzecz o „Wojnie domowej“ Samuela z Skrzypny Twardowskiego. W obszernej tej rozprawie zgromadził młody autor sporą wiązankę szczegółów, dotyczących życia i pism znakomitego pisarza 17go wieku, a rozproszonych po rozmaitych współczesnych i dawniejszych źródłach. Oprócz oryginalnego a trafnie uzasadnionego poglądu na powstanie i organiczną całość „Wojny domowej“ nie znajdujemy nowych momentów w pracy p. Czechowskiego, ale układ materyału i oświetlenie artystycznej twórczości polskiego epika zasługuje na szczere uznanie. Metoda krytyczna autora wskazuje na dobrą szkołę i wystawia zarówno uczniowi jak prof. Brucknerowi, w którego seminaryach p. Czechowski lat kilka pracował, pochlebne świadectwo.

* * *

— **Nakładem** „Przeglądu Poznańskiego“ ukazała się i jest do nabycia we wszystkich księgarniach oraz administracyi pisma naszego rozprawa p. Snitki p. t.: **„Nowocześni pogromcy Narodu Polskiego i Jego Przeszłości w Literaturze historycznej“**.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Wiadomości społeczne i polityczne.** Wojna między Chinami a Japonją wre na całej linii. Według urzędowych doniesień rozpoczęli Chińczycy kroki wojenne, lecz tak na lądzie jak na morzu ponieśli dotkliwe straty. Prawdopodobnie Anglja i Rosya wmięszają się do starcia dwóch azyatyckich narodów. — We Francyi ogłoszono już oficyalnie prawo przeciw anarchistom. Podług uchwały ciał prawodawczych odnosi się ono tylko do samej Francyi; w zaciętej walce bowiem zapomniano rozciągnąć je na francuzkie kolonje. Mimo to ogłosił Casimir Perier, że nowe prawo posiada również moc obowięzującą dla Algeryi. — Donoszą z Gdańska, że ustawa rosyjskiego rządu przepisująca złożenie kaucyi na szkuty udające się z towarami do Rosyi, wejdzie w użycie dopiero 1 września. Przepis ten będzie prawdziwą klęską dla flisaków, przeważnie polskiej narodowości.

Teatr i muzyka Panna Wróblewska, artystka teatru poznańskiego debiutuje w Warszawie. — St. Barcewicz urządza szereg koncertów w zdrojowiskach galicyjskich. — Plany budowy letniego teatrzyku w Lublinie zostały zatwierdzone. — Ernest Wolzogen napisał dramat czteroaktowy p. t. „Ewiger Krieg“.

Naturalizm na scenie Prawda na scenie stała się hasłem, które częstokroć nadużywanem bywa. Najrealniejszą dotychczas komedyą była wystawiona na scenie nowojorskiej sztuka p. t. „Dwie sieroty“, w której dzieci rzucone są pod szyny, w chwili przejazdu pociągu. Obecnie przedstawiają w tymże teatrze rzecz bardziej jeszcze naturalistyczną p. t. „Tornado“. W pierwszym akcie szalona burza wyrywa drzewa z korzeniami. wyrzuca dachy w powietrze. obala domy, grzmią pioruny, przelatują błyskawice. W akcie drugim przed oczyma widza ukazuje się pokład parowca, kołyszący się na wzburzonych falach, przyczem 32 osoby cierpi na morską chorobę. Dalej następuje rozbicie się parowca; bohaterowie sztuki ratują się na łodzie. W trzecim akcie przedstawiony jest pożar w hotelu. Wszyscy goście wybiegają w nader lekkich kostyumach. W czwartym akcie wszyscy bohaterowie toną. Piąty akt wyobraża salę sekcyjną w szpitalu. Na stołach leżą trupy, które iść mają pod nóż lekarski. Lecz operujący doktór w pięknej kobiecie poznaje swoją żonę i jakimś cudownym środkiem przywołuje ją napowrót do życia. Widzowie po takim spektaklu są chyba nie mniej zmęczeni od aktorów. A zmysł estetyczny!!!...

— **Zjazdy i kongresy**. W Antwerpii odbył się międzynarodowy kongres ekonomistów. — Organizacya zjazdu lekarzy i przyrodników we Lwowie doznała nieprzychylnej oceny w galicyjskich i poznańskich pismach. — Towarzystwo geologiczne w Zurychu ogłosiło kongres geologów. — W morawskiem Bernie rozpoczął wiec katolików czeskich obrady swoje. Komitet wiecu wydał odezwę do uczestników, aby jedynie u czeskich kupców kupowali towary.

Zmarli:

Edmund Guillanne, architekt francuski. Umarł w Paryżu.

Juliusz Bertrand, poeta francuzki, um. w Calais.

Eberty, długoletni poseł do parlamentu i sejmu pruskiego, umarł w Friedrichsrode.

Dr. Brunn, profesor archeologii przy uniwersytecie monachijskim.

BIBLIOGRAFJA.

Edward Kaczka. Pedagogiczne znaczenie wycieczek. Kraków 1894. Cena 0,20 mr.

D. Franciszek Krcek. Modlitewnik Nawojki. Kraków 1894. Cena 1,60 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

K. K. Utwór nadesłany jest niewątpliwie produktem barwnej wyobraźni, ale kompozycya błędna i forma zaniedbana nie kwalifikują go do druku.

Nie-Słowacki. Prawda! W utworze nie ma ani krty Słowackiego, ale za to w każdej nieomal strofie znać — Rozbickiego.

Stokrotce. „Życie Chrystusa“ wyszło w dwóch wydaniach — naukowem i popularnem. „Historya ludu żydowskiego nie jest tłomaczoną w całości.

S. w K. W nadesłanych lirykach jest wiele ciepła i melodyjności, ale motywy nieco zużyte, i forma gdzieniegdzie słaba. Prosimy o więcej utworów.

Sprostowanie.

W artykule **„Gerhart Hauptmann“** zamieszczonym w nr. 18, znajduje się jedno zdanie, które z powodu rozsypania czcionek jest niezrozumiałem. Na stronnicy 6, w łamie drugim, wiersz 18 i następujące czytać należy: „Każda kreska jest rysem charakterystycznym, a każdy rys potęguje plastykę postaci. Konwencyonalna estetyka mogłaby niezawodnie z skarbnicy formułek swoich“ i t. d.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.